

Nick Carter SALON GRY W BOWERY

82834

Każdy tom stanowi odrębną całość.

Zs



NICK CARTER

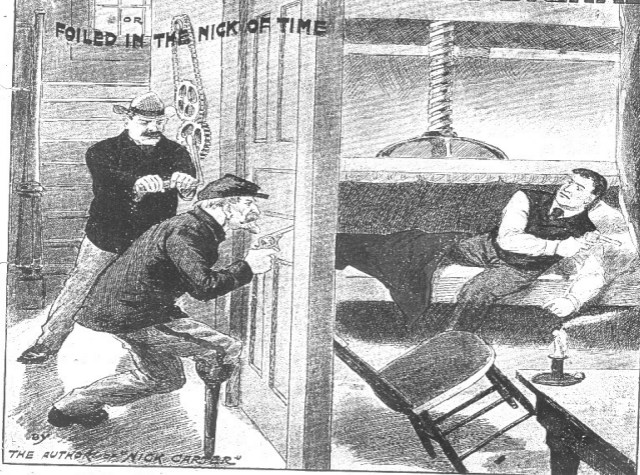
NAJŚLAWNIEJSZY DETEKTYW AMERYKI
Salon gry w Bowery.

Tom 2.

Cena: 30 hal. = 35 fen. 80 centyżarów.

NICK CARTER'S BLOCK SIGNAL

OR
FOILED IN THE NICK OF TIME



THE AUTHOR OF "NICK CARTER"

Baldwin zniżył się znowa, lecz nieastannie Nick Carter w ostatniej chwili zsunął się na podłogę.

SK

Nick Carter

SALON GRY W BOWERY



82834

Każdy tom stanowi odrębną całość.

Zs 1



NICK CARTER

NAJŚLAWNIEJSZY DETEKTYW AMERYKI

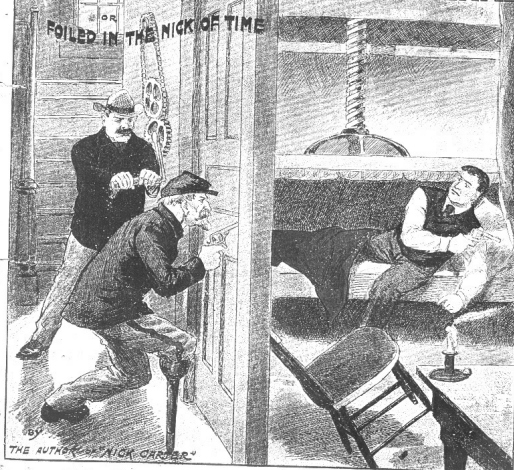
Salon gry w Bowery.

Tom 2.

Cena: 30 hal. — 35 fr. — 40 centymów. 1

NICK CARTER'S BLOCK SIGNAL

OR
FOILED IN THE NICK OF TIME



THE AUTHOR OF "NICK CARTER"

Illustracja została się zwolnić, lecz niezależnie Nick Carter w ostatniej chwili zmusił się do walki.

SK



Tom 2

SALON GRY W BOWERY

(Nick Carter's Block Signal or Foiled in
the Nick of Time)



2012

Spis treści

Opowiadanie pana Burneta

W jaskini Bowery

Pułapka na ludzi

Wywiad w więzieniu

Niebezpieczna jazda

Patsy odwiedza panią Wallace

Diabelski plan

W krematorium

Uratowanie Wallace'a

Przed domem pani Wallace

Urowadzenie pani Wallace

Zbawca

Zdemaskowany

Koniec historii krótki

Tekst wg wydania Spółki
wydawniczej Nick Cartera, Katowice br.

Opowiadanie pana Burneta

— Istotnie bardzo szczególny wypadek panie Burnet, jakkolwiek zdarza się nie po raz pierwszy, że ktoś znika nagle ze samego środka New Yorku.

— Podobne wypadki może pan uważać za zwykłe, będąc detektywem, jednak ja jestem w tym położeniu, że idzie tu o mego najlepszego przyjaciela, a jego zniknięcie zaniepokoiło mnie do tego stopnia, iż nie wahałem się udać do pana, panie Carter.

Znakomity detektyw uśmiechnął się uprzejmie i spojrzał badawczo na nieznajomego siedzącego w jego

pracowni.

Na pierwszy rzut oka gość zdawał się jednym z owych tuzinkowych ludzi, których spotyka się na każdym kroku w wielkim mieście. Ubrany przyzwoicie, bez jaskrawości, jak ludzie spotykani w miejscach publicznych lub w lokalach zabaw, robił wrażenie gnuśnego trutnia, który żyje z dnia na dzień bez stałych dochodów.

Ten gość dzisiejszy mógł być tak dobrze okazem słabego charakteru, jak również zbrodniarzem nie mającym świadomości swych zbrodniczych instynktów – a wielki znawca ludzi był skłonny do przyjęcia tego drugiego przypuszczenia.

W ogóle ten pan Burnet zdawał się należeć do tego rodzaju ludzi, którzy

odważyli się na czyn kończący się z reguły smutnie dla nich, a mianowicie udał się on do sławnego detektywa tylko dlatego, aby móc swobodnie łowić ryby w mętnej wodzie.

— Obecnie minęło już czterdzieści godzin od chwili, gdy ostatni raz widziałem Vernona Wallace'a — mówił w dalszym ciągu gość. — Nasze pożegnanie odbyło się w szczególnych warunkach, tak że dla lepszego zrozumienia rzeczy muszę wszystko opowiedzieć szczegółowo.

Vernon i ja należymy do świata bawiącego się, chętnie grywamy, pijemy, palimy, idziemy o zakłady — jednym słowem wspólnie spędzamy nasz czas i oddajemy się każdemu sportowi.

Tak było i poprzedniej nocy. Dla

odmiany postanowiliśmy pójść na wywiady i odkrycia do dzielnicy Bowery. Opowiadano nam cuda o pewnym lokalu w tej dzielnicy, gdzie różne dziwy się dzieją. Otóż około dziesiątej wieczorem, po wypiciu znacznej ilości alkoholów, większej aniżeli trzeba, udaliśmy się do owego lokalu, który zrobił na mnie wrażenie czegoś pośredniego pomiędzy salonem a szynkownią wina.

Mówiąc szczerze, obaj byliśmy rozczarowani. W jednym z dalszych pokojów ujrzeliśmy kilku mężczyzn przy grze, niewinnej na pozór, a gdy się przekonano, że nie jesteśmy przebranymi detektywami, przyjęto nas bez zastrzeżeń do gry.

Trzymający bank był starym człowiekiem, w uniformie wojskowym,

był bez jednej nogi i miał wygląd żołnierski, patrząc na nas bystrymi szarymi oczyma. Prócz tego posiadał sumiaste wąsy.

Detektyw uśmiechnął się leciutko i skinął głową.

— Znam ten lokal i tego starego żołnierza. Ów

salon miał niegdyś smutną sławę w czasach gdy Bowery było zbiorowiskiem i gniazdem rozmaitych zbrodni — zauważył Carter. — Proszę, mów pan dalej. Naturalnie, pan grał?

— Nie, nie miałem ochoty, natomiast Vernon grał zapalczywie. Przyjaciel mój jest dziwnym człowiekiem, na trzeźwo wzór powagi i słowności krępujący się lada drobnostką, ale pod wpływem alkoholu awanturnik w najgorszym

rodzaju.

Nie chcąc być rozwlekłym w opowiadaniu, powiem tyle, że mój przyjaciel miał szalone szczęście, tak że w końcu inni gracze odstąpili od stołu, a pozostał jedynie stary wojskowy.

Wówczas szczęście mego przyjaciela zabłysło w całej pełni. Stary wojskowy, mimo wszelkich wysiłków, przegrywał nieustannie, a kupa złota i banknotów rosła przy moim przyjacielu. Śledziłem grę z nerwowym niepokojem, to jego szczęście przerażało mnie, a zwłaszcza obawiałem się rozgoryczenia przegrywającego starca. Zauważyłem, że on daje gospodarzowi jakieś znaki oczyma, a to ich porozumienie się wydało mi się podejrzane.

Usiłowałem Wallace'a przekonać

łagodnie, aby gry zaprzestał, lecz on, racząc się hojnie trunkiem, odpowiedział mi szorstko, że nie jest niemowlęciem, że sam wie dobrze co robi, a jeśli mi się nie podoba jego postępowanie, mogę się wynieść z lokalu.

Zamieniliśmy jeszcze kilka ostrych słów ze sobą, a gdy zniechęcony odwróciłem się i wychodziłem z pokoju, spojrzałem jeszcze raz i widziałem go grającego w dalszym ciągu.

Ta chwila była ostatnią w której widziałem mego przyjaciela. I czy mogłem się tego spodziewać!?

— Zatem, zdaniem pana, w tym lokalu spotkało jakieś nieszczęście pańskiego przyjaciela? — rzekł Nick Carter. —
Możliwe jest jednak, że z powodu słownej sprzeczki, pański przyjaciel unika

pana.

— To niemożliwe — zaprzeczył z żywością Burnet. — Vernon nie jest zawzięty. Ileż razy nagadaliśmy sobie gorszych rzeczy, będąc w stanie podnieconym, a nazajutrz ani wspomnieliśmy o tym.

Droga powrotna otrzeźwiła mnie i nie mogłem zasnąć, opanował mnie bowiem zagadkowy niepokój.

Wreszcie wstałem i udałem się z powrotem do tego lokalu. Było to w przybliżeniu w jakie dwie godziny od czasu opuszczenia pokoju gry.

Dom był zupełnie ciemny, a na kilkakrotne moje pukanie otworzyło się okno na drugim piętrze, z którego wyjrzała twarz gospodarza lokalu. Na moje pytanie odpowiedział mi krótko, że wkrótce po

moim odejściu opuścił lokal i mój przyjaciel.

Zadowolony z tej odpowiedzi wróciłem do domu i zasnąłem do ranka. Na próżno jednak czekałem nazajutrz na mego przyjaciela w miejscach naszych zwykłych schadzek, nie pokazał się wcale i przeszła znów noc, a jego nie było.

Dzisiejszego ranka, już bardzo zaniepokojony, gdy do południa nigdzie go nie spotkałem i nic o nim nie słyszałem, udałem się do jego mieszkania. Tam dowiedziałem się, że od chwili gdyśmy przed czterdziestu ośmiu godzinami wyszli od niego, nic o nim nie wiedzą i są wielce zaniepokojeni jego nieobecnością.

I to jest powodem, panie Carter, że do pana się udałem. Mówiąc szczerze, mam

to smutne przeczucie, że mój nieszczęśliwy przyjaciel nie wyszedł żywy z owego lokalu w Bowery, że tam go uśpiono, obrabowano i zabito.

— Dobrze — rzekł po namyśle sławny detektyw — zajmę się tą sprawą. Jeszcze dzisiejszego wieczora pójde do tej sali gry i przypatrzę się staremu wojskowemu. Być może, iż odkryjemy tajemnicę.

W jaskini Bowery

Wierny swemu słowu, udał się Nick Carter przed północą do ludnej i ruchliwej dzielnicy Bowery.

Zanim jednak wstąpił do osławionego lokalu, udał się, jak to było jego zwyczajem, na zwiady w sąsiedztwo.

Przypadkiem spotkał na ulicy tego samego policjanta, który owej nocy pełnił tu służbę, a ten przypomniał sobie, że mniej więcej około północy dwóch panów opuściło ów lokal i wsiadło do oczekującego ich powozu.

Według opisu policjanta nie ulegało wątpliwości, że jeden z tych panów był

Vernonem Wallace'em, a opis drugiego zgadzał się z rysopisem Burneta, co jednak było wykluczone, gdyż Burnet sam wezwał Cartera.

Ostatecznie Carter wszedł spokojnie do szulerni.

W dalszym pokoju siedziało kilku mężczyzn przy grze, zupełnie zgodnie z opisem Burneta.

Stary wojskowy trzymał bank i zezwolił chętnie detektywowi na udział w grze.

Carter usiadł przy stole i wyjął paczkę banknotów z kieszeni.

Detektyw znał dość dobrze przeszłość starego wojskowego. Wiedział, że prochu nigdy nie wachał, natomiast znał więzienia i należał do gatunku zbrodniarzy nie cofających się przed zbrodnią przy

zdarzającej się sposobności.

Ściśle według opisu Burneta rozwijała się gra. Jeden po drugim z graczy wstawał od stołu, aż wreszcie został tylko Carter i stary wojskowy.

Detektyw od razu zrozumiał grę starego.

Ten naturalnie grał fałszywie, ale był zbyt sprytny, aby tylko sobie dawać dobre karty i od czasu do czasu udzielał ich obficie przeciwnikowi.

Nick Carter wiedział również, że w ostatnich kilku miesiącach dużo frajerów, czy to przyjezdnych z Europy, czy też bogatych farmerów przybyłych celem zwiedzenia New Yorku, zginęło w zagadkowy sposób.

Wyśledzono, że udali się oni do Bowery i weszli do tego lokalu, ale nigdy

nie można było dowieść, że w tej szulerni zdarzyło się coś przeciwnego prawu lub zbrodniczego.

Nagle zbudziło się w detektywie straszne podejrzenie, które wzrastało w pewność, im dłużej trwała gra.

Gospodarz szulerni i stary wojskowy trzymający bank byli współnikami. Prawdopodobnie zawsze wybierano wśród gości jakiegoś frajera, świeżo przybyłego, który posiadał pewną gotówkę. Jemu oddawano najlepsze karty, i w ten sposób on ogrywał wszystkich gości do ostatniego szeląga.

A gdy ci wstali od gry, współnicy oszłamiali szczęśliwego gracza, obrabowywali z gotówki i zabijali.

Stary wojskowy był stanowczo doskonałym aktorem, po prostu zadziwiał

niezmierną ilością przekleństw i złorzeczeń nad swym niepowodzeniem w kartach. I jakkolwiek przy stole został tylko detektyw, staremu karta nie szła i wreszcie oświadczył z grubym śmiechem, że i on przegrał wszystko co do centa.

Carter, jak to zwykł był często czynić, i dzisiaj udawał, że jest pijany, jakkolwiek część alkoholów, które kazał sobie podawać, wylał nieznacznie do obok stojącej spluwaczki.

— No — zamruczał stary wojskowy, gładząc wąsy — miałeś pan bezczelne szczęście, ale spodziewam się, że nie odmówi mi pan rewanżu.

— Naturalnie — uśmiechnął się detektyw, zawiązując w chustkę wygrane pieniądze.

— A teraz wypijmy na zgodę — rzekł stary wojskowy.

Ach tak! Teraz następuje chwila krytyczna! Jednak Nick Carter dorósł do zadania.

— Bardzo chętnie, mój przyjacielu — wybełkotał z trudem.

— Gospodarzu, przyrządźcie nam dwie szklanki mocnego grogu — zawołał stary. — Wprawdzie karta nie szła mi diabło, ale to żaden powód do nieprzyjaźni.

Nick Carter wiedział doskonale, że w jego szklance będzie środek oszłamiający i że prawdopodobnie Vernon Wallace w ten sposób został oszołomiony, obrabowany i zabity.

Wniesiono grog.

Nick Carter usiadł blisko kominka, a

gdy kulawy wojskowy poszedł do przyległego pokoju po łyżkę do grogu, detektyw miał czas wylać zawartość swej szklanki do popiołu, a w chwili wejścia starego, przytknął do ust szklanę rozkoszując się ostatnim łykiem.

Próżną szklanę postawił Carter z miną zadowoloną na stole.

— Smaczne, bo smaczne — mówił Carter, ziewając — ale też i mocne. Jestem senny i muszę iść, bo mieszkam daleko.

Detektyw słusznie się domyślał, że chwila ta była rozstrzygająca dla dwóch współników. Tak wojskowy jak i gospodarz okazali nadmierną troskliwość o swego nowego przyjaciela. Przypomnieli sobie, że w Bowery roi się od różnych rzezimieszków, którzy dla

marnych pieniędzy gotowi zawsze zamordować.

— Istotnie, byłoby to zbrodnią z naszej strony, gdybyśmy narażali naszego kochanego przyjaciela — mówił tonem współczującym stary wojskowy — i jestem pewny, Bobie Acres, że znajdziesz dla mego przyjaciela dobre łóżko, na którym on spokojnie i bezpiecznie noc przepędzi.

Jakkolwiek obydwaj wspólnicy doskonale odgrywali tę komedię, sławny detektyw przewyższał ich znacznie pod tym względem. Ziewał, przeciągał się, udawał, że pragnie pójść do domu, wreszcie wybełkotał, że nogi nie chcą go słuchać, a ten ostatni poncz był przekłęcie mocny.

— Zaprowadzę pana do łóżka, będzie

pan spał jak w niebie — przekonywał z przyjaznym uśmiechem gospodarz.

— A może i tam się obudzisz — mruknął cicho stary wojskowy.

Gospodarz Bob Acres wziął bez ceremonii pijanego gościa pod ramię, i trzymając w drugiej ręce lichtarz z małą świecą, poprowadził schodami na pierwsze piętro.

Nick Carter odgrywał swoją rolę znakomicie; to usiłował iść sam i płacząc nogami, chronił się od upadku, chwytając gospodarza za ramię, to znów stawał i dopiero po usilnych namowach szedł dalej.

Ta wspaniała gra zrobiła też wrażenie, tak na starym wojskowym, jak też na gospodarzu, gdyż obaj mieli rozradowane miny, będąc przekonanymi, że złowili

poszukiwanego ptaszka, który nie wymknie, się ze sideł zastawionych.

Wkrótce gospodarz wprowadził Nicka Cartera do pokoju. W jednym rogu stało istotnie łóżko z baldachimem, a reszta umeblowania składała się z chwiejnego krzesła i kulawego stołu.

Gospodarz postawił na stole lichtarz z resztą świecy i zostawiając pijanego do bezprzytomności jego losowi, wyszedł, zamykając na klucz drzwi za sobą.

Nick Carter słyszał podwójny trzask zamka we drzwiach i zarazem się przekonał, iż jego drzwi od wewnątrz, nie miały ani zamka ani zasuwki.

— Początek zapowiada się nieźle — szepnął do siebie detektyw ze złośliwym uśmiechem. — Jestem tedy szczęśliwym więźniem w tej jaskini łotrów.

Pułapka na ludzi

Pokój posiadał tylko jedno okno wychodzące na dziedziniec, który był składem wszelkich możliwych odpadków, a otaczały go nagie, poczerniałe mury. Z przyległych ulic dolatywały od czasu do czasu odgłosy ruchu i życia, pędziły z hukiem pociągi, rozlegały się gwizdy i hałasy właściwe tej dzielnicy.

Nick Carter odstąpił od okna i obejrzał starannie drzwi, które posiadały charakter więzienny. Z wewnątrz nie dały się ani otworzyć ani zamknąć, a otwierały się na pokój. Skorzystał z tego zaraz, zabarykadował drzwi stołem, aby utrudnić

nagle otworzenie ze strony korytarza.

Teraz począł szukać śladów popełnionych zbrodni, gdyż pewny był, iż tak Vernon Wallace, jak też inni frajerzy, którzy zniknęli w tajemniczy sposób, znaleźli swój grób w tym ponurym pokoju.

Na próżno jednak szukał śladów krwi na niemożliwie brudnej podłodze, na materacach i pościeli, nie było ich nigdzie.

W pokoju były jeszcze drugie drzwi, jak się pokazało, od szafy ściennej, w której wisały ubrania męskie. Ale i w szafie nie znalazł nic podejrzanego.

Zdaje się, że mam do czynienia z przebiegłymi łotrami — pomyślał dobrowolny więzień. — A może w ostatnim grogu zadali mi silną truciznę... Po co jednak łamać sobie głowę nad

zagadką? Nie ulega wątpliwości, że postąpią ze mną tak, jak z moimi poprzednikami, a więc czuwać i patrzeć!

Nick Carter nie wiedział, czy nie jest podpatrywany, uznał więc za stosowne położyć się i udawać śpiącego.

Ułożył się tuż na brzegu łóżka, rewolwer trzymał w pogotowiu i z prawdziwie indyjską cierpliwością czekał rozwiązania.

Godziny mijały.

Nagle wrażliwe ucho detektywa pochwyciło jakiś szmer na dole, wkrótce usłyszał skrzyp schodów pod ciężkimi, lecz skradającymi się krokami. Ktoś po omacku dotykał ściany, a tuż przed jego drzwiami ustał wszelki szmer.

Nastała poprzednia cisza, przerywana chrapliwym oddechem detektywa

udającego sen głęboki.

Po chwili podsłuchujący pod drzwiami oddalił się, lecz czuwający detektyw nie słyszał, by ktoś schodził po schodach.

Świeca dogorywała. Nick Carter leżał bez ruchu tylko jego niespokojne oczy błędziły po pokoju i mimowolnie zatrzymywały się na górnej części baldachimu.

Nagle zrobił on dziwne odkrycie. Firanki zdobiące baldachim poczęły się zniżać.

Leżący nie wątpił w prawdę swej obserwacji, gdyż na ścianie wisiał oleodruk, tani, zakurzony, przedstawiający Jerzego Waszyngtona, tego Ojca ojczyzny, jak go nazywają Amerykanie. Dzielny ten człowiek podziela los cesarzów europejskich, których portrety można

spotkać tak dobrze w salonach jak i w najgorszych szynkowniach.

I w tym pokoju wisiał portret Waszyngtona, który, jak gdyby się wstydził swej obecności w tym miejscu, znikał stopniowo za zniżającym się baldachimem. Najpierw znikł jego kapelusz trójgraniasty, następnie twarz surowa otoczona peruką, dalej jego błyszczący mundur, wreszcie poczęły ginąć cholewy butów, tak że pozostały tylko ostrogi i obcasy.

Baldachim zniżał się zwolna, lecz nieustannie, minął już ramy obrazu, i po kilku sekundach zanim nakrył całe łóżko, detektyw zręcznym a cichym ruchem uniknął nieprzyjemności uduszenia, zesunąwszy się na podłogę.

Zagadka znikania szczęśliwie

grających graczy rozwiązana!

Ów baldachim był w rzeczywistości pułapką duszącą śpiących. Wierzch jego stanowił gruby ciężki materac, który za pomocą korby umieszczonej w korytarzu, spuszczał się ze sufitu na łóżko i zanim spojona trunkiem ofiara mogła zrozumieć swe położenie, następowała śmierć przez uduszenie.

Wierzch baldachimu przez jakie dziesięć minut spoczywał na materacach łóżka, a po upływie tego czasu, zwolna, bez szelestu podniósł się w górę, do swej dawnej pozycji.

Teraz zapewne wejdą zbrodniarze, aby obrabować uduszoną ofiarę, a trupa wrzucą następnie do kanału, albo też pogrzebią w piwnicy.

Jeszcze Nick Carter nie ułożył planu

postępowania, gdy uszu jego doleciał szept głosów z korytarza. Widocznie zbrodniarze zamierzali dokończyć rozpoczętą pracę.

Ktoś obrócił w zamku klucz dwukrotnie.

— Do stu diabłów — zakłęto pod drzwiami, a detektyw rozpoznał głos gospodarza — ten łajdak zamknął drzwi od wewnątrz.

— Co bredzisz? Przecież nie ma ani zamka, ani zasuwki.

— Nie ma.... musiał podsunąć stół.

— No, no, więc on nie był tak skończonym głupcem, jak sądziliśmy.

— Ostatecznie możemy drzwi wywalić — odpowiedział wojskowy.

Detektyw posłyszał, jak we dwóch poczęli naciskać drzwi, stół zakołysał się,

gdy nagle zawołał ostrym głosem:

— Stój, bo strzelę!

Dwaj złoczyńcy osłupieli. Ten fakt, że ich ofiara jest przy życiu, tak podziałał na nich, że z przerażenia nie mogli się ruszyć przez kilka chwil.

Wreszcie posłyszał detektyw, jak oni obaj się cofnęli.

W pierwszej chwili błysnęła mu myśl, aby wypaść przez otworzone drzwi, schwytać obu przestępców i aresztować.

Wkrótce jednak rozmyślił się Nick Carter. Wszak ci dwaj zbrodniarze w przewidywaniu prześladowania urządzili zasadzkę na schodach i chcąc ujść, nie zawahają się zabić go przy pierwszej sposobności. Zresztą i to jest możliwe, że prócz gospodarza i wojskowego są w domu inni pomocnicy. Wreszcie

nieznajomość terenu była również przeszkodą.

Dość, że przestępcy mieli w razie napadu z jego strony wszelkie korzyści po swej stronie i Nick Carter mógł być pewny, że kula go nie minie, skoro odważy się wyjść na korytarz.

Obecnie została jedna jedyna droga szybkiej ucieczki, mianowicie przez okno. Wprawdzie złoczyńcy mogli go oczekiwać na dole i zastrzelić, ale wyboru nie było.

Na szczęście pokój był na pierwszym piętrze.

Nick Carter bez żadnego szelestu otworzył okno, usiadł na gzymsie, zmierzył oczyma przestrzeń i ze zręcznością prawdziwego gimnastyka skoczył na dół.

Wysokość okna wynosiła około trzech metrów, a że dziedziniec był zarzucony odpadkami, ów skok udał mu się wybornie.

Będąc na dziedzińcu, szybko poszukał wyjścia na ulicę, aby zawezwać policję do przyaresztowania zbrodniarzy.

I właśnie w chwili, gdy przeszedł dziedziniec i zamierzał przeskoczyć otaczający go mur, usłyszał silny huk z piwnicy tegoż domu.

Nastąpiło kilka po sobie następujących wybuchów, nadzwyczaj silnych, które wstrząsnęły sąsiednimi domami.

Równocześnie z otworów okien piwnicy i parteru strzeliły gwałtowne płomienie.

Nie ulegało żadnej wątpliwości, że dwaj zbrodniarze, w przewidywaniu

możliwego odkrycia, ustawili w piwnicach całą baterię wybuchowych materiałów, aby w danym razie kamienicę tę zniszczyć i spalić. Tym sposobem zacierali wszelki ślad swej zbrodni, jak również urządzoną pułapkę na szczęśliwych graczy. Pozbywali się również wszystkich uczestników swej zbrodni.

W każdym razie należało przypuścić, że Bob Acres i Colby uszli przed wybuchem miny innymi drzwiami, a wmieszani w tłumy publiczności dzielnicy Bowery zmylą pogoń.

Wywiad w więzieniu

Zanim Nick Carter, przekradłszy się przez kilka dziedzińców, dostał się na ulice dzielnicy Bowery, już nadbiegła straż pożarna, gasząc z usilnością pożar domu.

O wtargnięciu do środka płonącej kamienicy nie mogło być mowy, gdyż stanowiła ona płomienny słup ognia.

Detektyw nie miał nic lepszego do zrobienia, jak tylko zawiadomić inspektora policji o ucieczce dwóch zbrodniarzy.

Dzięki doskonałej organizacji policji ów stary wojskowy, Colby, po kilku

godzinach siedział już w więzieniu. Zdradziła go noga drewniana i gdy schronił się do lichego szynku, gdzie sądził się bezpiecznym, policja wytropiła go i po rozpaczliwej obronie zdołała go ująć.

Bob Acres zginął jednak bez śladu, ten umiał się skryć.

Nick Carter nie tracił czasu i wszedł do celi, której był zamknięty Colby.

Uwięziony zbrodniarz siedział zły i chmurny, oparłszy twarz na dłoniach. Zobaczywszy wchodzącego detektywa, wydał pomruk wściekłego gniewu.

Wiedział już, że ów „frajer”, któremu wsunął dobre karty, jest w rzeczywistości słynnym detektywem.

— Czy pan wie, kto jestem? — spytał uprzejmie Nick Carter, siadając na stołku.

— Żałuję, że nie wiedziałem o tym wcześniej — zamruczał Colby.

— Luke'u Colby, tym razem wpadliście głęboko — rzekł detektyw poważnie — i wątpię, czy wykręcicie się od krzesła elektrycznego.

— Niechże moja krew spadnie na głowę pana.

— Dlaczegoż na mnie?

— Bo pan jest przyczyną.

— Ależ kochany panie, to gruba omyłka, czyż to moja wina, że pan jest zbrodniarzem? Ja broniłem jedynie mego życia i... bardzo być może, iż uratuję pańskie, skoro pan wyzna mi wszystko.

— Ach, wiem już, wiem, mam zdradzić innych.

— Naturalnie, a wówczas postaram się, aby pan był świadkiem ze strony

rzędu.

W lisich oczach starego wojskowego zabłysł promyk nadziei. Znał i on owo przestarzałe prawo angielskie, obowiązujące w Stanach Zjednoczonych, że skoro zbrojny w braku przekonujących dowodów odkryje swego współnika, może być z upoważnienia sądu poczytany za świadka rządowego, a w takim ratuje nie tylko ratuje swe życie, ale może być wypuszczony z więzienia.

— Ja... ja... nie mam nic do wyjawienia — mamrotał Colby, wpatrując się w podłogę.

— Posłuchajcie mnie, Colby, nasz wzajemny stosunek musi być jasny i wyraźny — powiedział detektyw tonem kupca zawierającego umowę. — Prawdopodobnie będziecie mogli

uratować wasze życie, a z drugiej strony oszczędzicie mi waszym zeznaniem dużo pracy i kłopotów, Zresztą możecie być przekonani, że i bez waszego zeznania dojdę sam prawdy. Zrobiłem wam propozycję dopuszczenia was na świadka rządowego, lecz jeśli wy chcecie kręcić i szukacie wybiegów, to szkoda mi mego czasu i umowa nie ma dla mnie żadnej wartości.

Więzień milczał, a Nick Carter opowiedział mu dokładnie sposób zabijania ofiar w szulerni Boba Acres, jak również sposób usuwania uduszonych przez wrzucenie do kanału.

— Nie wymagam od was — prawil dalej detektyw — abyście przyznali się natychmiast do tej zbrodni, to rzecz sędziego... ale zależy mi na innym

szczególe. Idzie o to, iż przedwczorajszej nocy przybyli do waszej sali gry dwaj przyzwoicie ubrani panowie nowicjusze w waszym salonie, a jeden z nich brał udział w grze. Czy tak było?

— Jeśli zawrzemy ugodę... mogę pana objaśnić.

— No, Colby, jesteście zbyt starym i wytrawnym przestępcą, abyście nie znali mnie pod tym względem, że co powiem, dotrzymam... Otóż przyznajcie, a będzie to miarą waszej prawdomówności, iż jednemu z nich pozwoliliście wygrywać w ten sam sposób, jak mnie dzisiejszej nocy. Czy tak?

Więzień skinął głową.

— Towarzysz szczęśliwego gracza — mówił detektyw — starał się nakłonić swego przyjaciela do opuszczenia lokalu.

To spowodowało kłótnię i ów niegrający poszedł do domu, zostawiając wam swego przyjaciela.

— No, tak było.

— A teraz, Luke'u Colby, patrzcie mi w oczy i przyznajcie się, co zrobiliście z owym szczęśliwym graczem?

— Nic — odpowiedział z zadziwiającym spokojem.

— Colby, ja żądam prawdy, a wiecie, że od niej zależy wasz los.

— Powiedziałem też szczerą prawdę.

— Zatem nie wiecie, co się stało z owym graczem?

— Nic.

— Opowiedzcież mi szczegółowo co wiecie o nim.

— Szkoda słów, a zresztą i tak pan mi nie uwierzy.

— Opowiadajcie, prawda wam nie zaszkodzi, a może dowiem się czegoś.

— Otóż przede wszystkim dowiedz się pan, że zostałeś porządnie okłamany.

— A mianowicie?

— Ów niegrający wyszedł wprawdzie, lecz wrócił po kilku minutach i siedział do końca gry, a następnie razem z graczem opuścili lokal.

— I cóż dalej? — spytał detektyw, nie zdradzając niczym swego zdziwienia.

— Zrozumie pan przecież, że nie w tym celu dałem frajerowi wygrać poważną sumę, aby z nią poszedł spokojnie do domu. Ów przyjaciel gracza przeszkadzał nam bardzo, a ja, rozgniewany, zacząłem wymyślać graczowi od oszustów i fałszerzy, przypuszczając, że wśród kłótni

wyrzucimy przyjaciela i że odegram się następnie.

— To się jednak nie udało? Co?

— Niestety, nie. W jednej chwili ujrzałem przed sobą lufę rewolweru, równocześnie ów drugi zagroził strzałem gospodarzowi, Bobowi Acresowi, a stało się to tak szybko i niespodzianie, że zaledwie mieliśmy czas odetchnąć.

— No i cóż? — spytał Nick Carter.

— Czegóż chce pan więcej? Musieliśmy spokojnie patrzeć, jak gracz wychodził z naszymi pieniędzmi i jak wraz ze swoim przyjacielem, równie godnym oszustem, wsiedli do karety oczekującej ich na rogu ulicy.

Zatem policjant dobrze obserwował i powiedział prawdę — pomyślał detektyw, a czcigodny Jake Burnet

okłamał mnie w nieznanym mi celu.

— I obaj wsiedli do powozu? — dopytywał się Nick Carter.

— Tak jest, lecz len drugi otworzył natychmiast drzwiczki i wysiadł.

— Jak to!?

— Alboż ja wiem — mówił więziem gniewnym głosem — dość, że gracz został w powozie, a jego przyjaciel usiadł obok woźnicy.

— No, może chciał odetchnąć świeżym powietrzem — uśmiechnął się leciutko detektyw. — A nie spostrzeżliście numeru karety?

— Za kogóż nas pan masz? — obruszył się wojskowy. — Natychmiast z Bobem wybiegliśmy na ulicę, aby w ten lub ów sposób wyrównać nasze rachunki. Diabli jednak przynieśli policjanta i ten nam

przeszkodził. Jest to zwykła historia, gdy trzeba w nagłym przypadku policjanta, co zresztą nie zdarzyło mi się w życiu, wówczas nigdy go nie ma, a niepotrzebny zawsze się znajdzie... Ale w każdym razie dostrzegliśmy numer karety, a mianowicie numer siedemset czterdzieści siedem. I na tym koniec... Kareta pojechała, a w niej dwaj oszuści — kończył z westchnieniem stary wojskowy.

W minutę później detektyw opuścił celę więzienną.

Niebezpieczna jazda

Nick Carter, idąc ulicą, rozmyślał nad usłyszczanymi szczegółami. Sprawa rozwija się odmiennie, aniżeli przypuszczał, staje się bardziej zawikłana, ale też bardziej interesująca.

Mamy tedy dwóch świadków, którzy wykazują kłamstwo mego mocodawcy. Burnet na pewno nie po raz ostatni widział swego rzekomego przyjaciela Vernona Wallace'a w jaskini gry, którą opuścił wraz z nim; następnie Wallace'a usadowił w karecie a sam siadł na kozioł. Zachodzi teraz pytanie, w jakim celu utrzymuje Burnet, że ostatni raz widział

swego przyjaciela w owej szulerni? Dlaczego udał się do mnie, abym mu pomógł do odnalezienia miejsca pobytu jego przyjaciela, gdy prawdopodobnie doskonale jest o nim powiadomiony? Cała sprawa pachnie łajdactwem.

Detektyw postanowił najpierw wyszukać karetkę z numerem 747.

Dorożki w New Yorku, podobnie jak w europejskich miastach, mają wyznaczone miejsca postoju, zatem odszukanie numeru 747 nie przedstawiało trudności, natomiast nasunęła się inna wątpliwość.

Dorożkarze wyprawiający się na podejrzaną jazdę często zmieniają numery swych dorożek, aby uchylić się od poszukiwań i odpowiedzialności. Być może, iż numer 747 był fałszywy.

Na drugi dzień detektyw odszukał właściwą karetę. I znalazł, nie tylko numer 747, ale sprawdził, że dorożkarz jest kilkakrotnie karanym rzezimieszkiem, którego fotografia figuruje w albumie zbrodniarzy i nazywa się John Hagan. Było zatem wszelkie prawdopodobieństwo, że ta karetka jest właśnie ową poszukiwaną.

Nadeszła noc, a detektyw nie spuszczał oka z karety i woźnicy siedzącego sztywno na koźle. Postój numeru 747 znajdował się przy Union Square, w pobliżu Flat Iron Buildings, zatem w najruchliwszej części miasta.

Z pewnym zdziwieniem zauważył detektyw, że Hagan odmawia żądaniom jazdy pod pozorem, iż jest zajęty i że mógłby pozwolić sobie jedynie na kursy

bardzo bliskie.

Detektyw stosownie do dzielnicy bogatej przebrany był za eleganta próżnującego. W spince krawatki błyszczał wielki diament, a gruby złoty łańcuszek był bardzo widoczny.

Po kilku godzinach, gdy Hagan nie ruszył się z miejsca, jakkolwiek świeży szereg dorożek zjawił się na zmianę, podszedł do niego Nick Carter, pozornie tak pijany, że zaledwie trzymał się na nogach.

— Hej! Dorożkarz!... Jazda! — bełkotał, z trudem chwytając się drzwiczek tak silnie, że kareta się przechyliła.

Uśmiech radości przeleciał po twarzy dorożkarza i zmrużonymi oczyma przypatrywał się gościowi.

— A gdzie jechać?

— Jechać?... co mi tam gadasz?... powiedziałem... jazda... rozumiesz?

Dorożkarz bardzo uprzejmie, jak to zresztą przewidywał detektyw, zeskoczył z kozła i uniżenie otworzył drzwiczki karety, pytając:

— Adres pana?

— Mój adres... Paryż... wiesz gdzie?

— bełkotał detektyw i aby utrzymać się na nogach, oparł się całym ciężarem o dorożkarza. — Adres? Spytaj się mego przyjaciela... zaraz... generał Pr... Pr... Jakże on się nazywa? Głupstwo!... Zapomniałem... na śmierć zapomniałem... ale co ci do tego? Jazda i koniec.

Dorożkarz z pewnym trudem wsadził pijanego do karety, mruczając:

— Już my go znajdziemy.

Następnie zatrzasnął drzwiczki i zręcznie skoczył na kozioł.

Stało się tak, jak przewidziałem — uśmiechnął się detektyw, rozsiadając się wygodnie w karecie, no i Hagan pozostał wierny swemu rzemiosłu, zawsze wyczekuje pijanych, bogatych ludzi, aby ich zawieźć w samotne miejsce i obedrzyć do nitki.

Zanim Hagan wsiadł na kozioł, starannie zasunął oba okna karety, co zwróciło uwagę detektywa.

W jakim celu Hagan dbał tak o zamknięcie okien, nie mógł na razie Nick Carter zrozumieć, jednak wkrótce tajemnica się wyjaśniła.

W albumie zbrodniarzy znalazł sławny detektyw jedynie krótką notatkę o Hoganie, sam znał go jako niebezpieczne

indywiduum, ale nie spotkał go dotychczas w żadnej prowadzonej przez siebie sprawie. Wiedział o jego specjalności okradania pijanych pasażerów, ale nic więcej.

Lecz w jaki sposób Hagan przeprowadza swe zamiary, Nick Carter miał wkrótce przekonać się na sobie.

Śledząc kierunek jazdy domyślił się, że Hagan wiezie go do północnej dzielnicy miasta, Bronx, częściowo tylko zabudowanej. Tam obok ludnych ulic były puste place ledwie oparkanie, a w porze nocnej zupełnie opustoszałe.

Gdy dorożka minęła ulicę Sto Pięćdziesiątą, poczuł podróżny ostry, oszałamiający zapach, napełniający szybko, zamkniętą karotę.

Eter!

I w tej samej chwili zrozumiał detektyw przebiegłość dorożkarza.

W karecie był gdzieś umieszczony otwór przeprowadzonej zapewne od kozła rury, przez którą stangret mógł wpuścić dowolną ilość eteru.

Rzecz oczywista, że podpici goście, już i tak senni, mogli nie zauważyć napływu duszącego eteru, albo też zauważyć go za późno.

Naturalnie Nick Carter nie myślał poddać się działaniu usypiającego środka, toteż spuścił po cichu, unikając najłżejszego szmeru, jedno okno karety i wychylił głowę, aby móc swobodnie oddychać.

Po kilku chwilach ustał pewien lekki szelest spowodowany prawdopodobnie naciskaniem, gumowego balonu

zawierającego eter.

Widocznie Hagan był ostrożnym zbrodniarzem i nie chciał zabijać swych ofiar, lecz tylko odurzać.

Nick Carter zostawił okno tak długo otworem, póki powonienie go nie przekonało, iż gaz uleciał z karety. Następnie zasunął znów okno bez żadnego szelestu.

Dorożka wjeżdżała w ulice przeznaczone do zabudowania, a Hagan zgasił obie latarnie karety.

Nagle Hagan zatrzymał konie i szybko zeskoczył z kozła.

Detektyw udał omdlałego i leżał bez ruchu w karecie.

Hagan wziął go spokojnie pod ramiona i pociągnął w głąb parceli budowlanej, zdała od drogi.

W każdym razie ten Hagan nie jest bez serca — pomyślał detektyw. — Nie zostawia swych gości na przejezdnej drodze, lecz na uboczu, a rano oszołomiony pasażer budzi się z bólem głowy i z pustkami w kieszeniach.

Na wszelki wypadek Nick Carter trzymał rewolwer w pogotowiu.

Dorożkarz złożył detektywa na ziemi i z całym spokojem zabierał się do wypróżnienia jego kieszeni, gdy Nick Carter uznał za stosowne zakończyć ten żart.

Hagan omal nie zemdlął poczuwszy zimną lufę rewolweru tuż przy swym czole.

— Jedno podejrzanе poruszenie, Johnie Hagan, a dostaniesz kulkę w łeb. Zrozumiałeś?

Dorożkarz doznał takiego wrażenia, jak gdyby nagle wszystkie członki jego ciała odmówiły posłuszeństwa, nie mógł się ruszyć, gdy Nick Carter usiadł na ziemi a następnie wstał, trzymając nieustannie rewolwer przy głowie klęczącego woźnicy.

— Teraz wiesz chyba, że pasażerem twoim nie był podpity młodzieniec z Union Square? — spytał z ironią.

— A to nieszczęście — stęknął dorożkarz. — Pan jest detektywem.

— Jesteś znakomitym odgadywaczem — uśmiechnął się Nick Carter. — Tak, Haganie, jestem detektywem i schwyciłem cię na gorącym uczynku.

— Znów. posiedzę kilka lat — mruknął dorożkarz — takie już moje przeklęte szczęście.

— Gdzie byłeś dwie noce temu?

— W New Yorku.

— To wiem. Chciałem się tylko dowiedzieć, czy i wówczas wypróbowałyś siły eteru w karecie.

— A pan skąd wie, że ja w ogóle... hm... czy pan wszechwiedzący?

— Co to, to nie — uśmiechnął się detektyw — ale przypadkowo dowiedziałem się, że owej nocy stałeś w pobliżu lokalu Boba Acresa w Bowery. Pijany człowiek wszedł do karety, a jego towarzysz przy tobie na koźle, oczywiście dlatego, aby uniknąć smaku eteru.

— Otóż pan więcej wie, aniżeli można przypuścić — jęknął Hagan — i dziwi mnie, po co pan pyta mnie o znane mu rzeczy.

— Wszystko ma swe przyczyny —

uśmiechnął się detektyw — a teraz siądziemy na koźle i pogadamy, wracając do miasta. Tylko bez niepotrzebnych żartów, Haganie, bo mój rewolwer nie lubi tego.

Zgnębiony woźnica, strzeżony przez detektywa, poszedł posłusznie w stronę stojącej karety i stosownie do rozkazu zapalił latarnie.

— Teraz pogadamy spokojnie — mówił Nick Carter, sadowiac się na koźle obok dorożkarza. — Mam dwa pytania do ciebie. Pierwsze, kim był ów towarzysz uśpionego eterem w karecie?

— Czy ten, co obok mnie siedział?

— Zdaje się, że mówię dość wyraźnie.

— Nazwiska jego nie znam, chociażbym miał sto lat siedzieć.

— Więc w jaki sposób poznałeś się z

nim?

— Rzecz prosta... spełniłem kilka jego poleceń i znajomość gotowa. Dwie noce temu czekałem na placu, spodziewając się stosownego pasażera, aby jaki grosz zarobić, gdy ten człowiek podszedł do mnie i powiedział, że w Bowery jest odpowiedni pasażer porządnie napity, tak że dawka eteru będzie raczej zabawą aniżeli potrzebą.

— I odwiozłeś tego człowieka?

— Cóż miałem robić? Nie psuje się interesu staremu znajomemu.

— Masz dobre serce, Haganie.

— Właściwie teraz nazywam się Nolan, tamto nazwisko budzi we mnie smutne wspomnienia — westchnął dorożkarz.

— Dobrze, niech będzie Nolan, cóż

zrobiłeś z tym pijanym?

— Hm... ten w karecie zaczął się niepokoić... Dałem mu dawkę środka uspokajającego.

— Cóż dalej, Nolanie?

— Mój towarzysz na koźle zaproponował mi odwiezienie obu do New Jersey.

Detektyw uśmiechnął się ironicznie.

— Posłuchaj mnie, Nolanie, mogę cię uwięzić w każdej chwili. Dam ci jednak sposobność usunięcia nazajutrz twego aparatu z eterem i prowadzenia życia uczciwego, chociaż przyjdzie ci to z pewną trudnością. Lecz ty natomiast bez żadnych wybiegów zawieziesz mnie do miejsca, gdzie oni wysiedli.

— Nie mogę odmówić tak uprzejmemu wezwaniu — powiedział Nolan z miną

zadowoloną — zwłaszcza, że pan przyrzekł milczenie o naszej przygodzie, bo ostatecznie dorożkarz jest przedsiębiorcą i nie może się pozbywać dobrych interesów.

Nick Carter mimowolnie się uśmiechnął z tej filozofii życia i rozkazał szybko jechać.

Gdy dojeżdżali do stacji Ferry przy Christopher Street, miał właśnie ruszyć prom, aby przebyć Hudson i stanąć w Hoboken.

Gdy dojeżdżali do New Jersey, wychylił się właśnie księżyc z czarnych chmur i jako tako oświetlił okolicę, tak że można się było zorientować.

Turkot karety rozlegał się po pustych ulicach Hoboken, wreszcie dorożkarz skręcił w stronę wzgórz zwanych Heights.

Kareta minęła wjazd do tunelu kolei Erie, a Nolan szepnął:

— Tam na prawo... do tego domu został wniesiony.

Nick Carter rzucił okiem na wskazany budynek, a ta chwila wystarczyła mu do zapamiętania domu i jego okolicy.

— Na dziś dosyć — rzekł do dorożkarza — teraz możemy wracać.

W pół godziny później byli już w New Yorku i z polecenia detektywa musiał dorożkarz, mimo wzdragań, jechać do swego domu. Na razie opierał się, ale kilka słów detektywa wystarczyło, aby był posłuszny.

Gdy Nolan rozbierał konie i wtaczał karete do wozowni, odezwał się Nick Carter:

— Co ja z tobą pocznę?

Dorożkarz spuścił głowę, westchnął i rzekł po dobrej chwili:

— Jestem nicpoń, o tym wie pan i ja również, ale od czasu gdy nazwałem się Nolan, ożeniłem się z dzielną dziewczyną, imieniem Brygida... Ta nie wie, ani przeczuwa sprawy z eterem, jest bardzo uczciwa, no i gotuje znakomicie. Mogę bez żadnego wstydu zaprosić pana na gęś pieczoną z kasztanami, a po kieliszku oryginalnej irlandzkiej whisky rozjaśni się panu świat. I bardzo proszę pana, niech pan mej Brygidzie nie wspomni o niczym, ona ośleplaby z płaczu.

— Niech będzie i tak — mówił rozweselony Nick Carter — ale to wstyd i hańba dla ciebie wieść takie życie łajdackie i drzeć nieustannie przed żoną... A teraz przypatrz się dobrze tej

fotografii... czy poznajesz?

— Tak jest. To portret tego pana, który zawiózł swego przyjaciela do New Jersey.

— Czy jesteś tego pewny.

— Najpewniejszy, znam przecież moich kundmanów.

— To dobrze... teraz idź do domu, a stąpaj cicho, abyś nie obudził swej Brygidy.

Nie zważając na podziękowania dorożkarza, Nick Carter oddalił się szybko. Wszelka wątpliwość o podwójnej grze Burneta znikła.

Każdy gość Nicka Cartera był mechanicznie fotografowany. Gospodarz prosił odwiedzającego, aby usiadł na fotelu, a skoro usiadł, utajona sprężyna odsuwała zasuwkę aparatu

fotograficznego i gość w tej samej chwili był już sfotografowany.

Portret Burneta był zdjęty w podobny sposób, a słowa dorożkarza stwierdzały, że właśnie Burnet uprowadził przyjaciela, o którego był tak bardzo troskliwy.

Patsy odwiedza panią Wallace

Teraz nie ulegało żadnej wątpliwości, że Burnet brał czynny udział w zniknięciu Wallace'a.

Nie zadowolili się tym naturalnie Nick Carter, zależało mu bowiem na odkryciu przyczyn podwójnej gry swego mocodawcy.

Najpierw pozwolił zniknąć człowiekowi, sam do tego się przyczynił, następnie wzywa znanego detektywa, aby mu pomógł odkryć zaginionego przyjaciela, to była gra niebezpieczna. Nawet dziecko zrozumiałoby bez trudu, że na dnie tego działania są ukryte

zbrodnicze sprężyny. Najbardziej przebiegli złodzieje, tylko w ostateczności krzyczą: Trzymajcie złodzieja, chcąc skierować podejrzenie w inną stronę.

Naturalnie Nick Carter nie pomyślał nawet przez chwilę, aby Burneta niepokoić niestosownymi pytaniami a tym mniej dać mu poznać, że zajrzało się w jego karty, jakkolwiek pobudki jego działania były otoczone tajemnicą.

Gdy Burnet zjawił się powtórnie w mieszkaniu Nicka Cartera, ten z nadzwyczajną uprzejmością oświadczył mu, że według wszelkiego prawdopodobieństwa nieszczęśliwy Vernon Wallace, został w osławionym lokalu przez zbrodniczego gospodarza i starego wojskowego najpierw uduszony, następnie obrabowany i wrzucony do

kanału podziemnego.

W tym czasie sławny detektyw wysłał już swych współpracowników do dalszej pracy.

Patsy, który miał dowiedzieć się o osobistych stosunkach Wallace'a, przyniósł zadziwiające wiadomości, a mianowicie, że Wallace ożenił się przed niedawnym czasem, że prowadził dom wspaniały, należał do lepszego towarzystwu i rozporządzał olbrzymimi dochodami.

Lecz również Jake Burnet, jak stwierdził Patsy, był zamożnym człowiekiem, dziedzicem milionowej fortuny, i był niemal bogatszy od swego mniemanego przyjaciela, tak że wszelki rabunek był wykluczony z tej sprawy.

Patsy, pragnąc zbadać bliżej stosunki

domowe Wallace'a, udał się do jego mieszkania i kazał się zameldować żonie zaginionego.

Otworzył mu drzwi kolorowy służący, któremu wręczył swój bilet napisawszy ołówkiem, że reprezentant Nicka Cartera pragnie z nią się rozmówić w sprawie zaginionego męża. Ten dopisek wystarczył, aby pani natychmiast przyjęła wysłannika.

— Pan chciał ze mną mówić — zaczęła pani domu, przypatrując się gościowi. — Idzie o Vernona... o mego męża?

— Tak, pani.

— Czy przynosi mi pan jakie wieści? — spytała wzruszonym głosem — i chociażby były najgorsze, wolę takie, aniżeli niepewność i obawę... obawę bez

kresu.

— Przede wszystkim raczy pani być spokojna — rzekł Patsy, który w razie potrzeby umiał być bardzo wytwornym. — Bardzo dużo zależy od informacji pani...

— Mój Boże, czyż on zginął? — zawołała zrozpaczona.

— Niechże Bóg broni, nie przypuszczamy tego wcale, jednakże nie chcę ukrywać przed panią, iż on znajduje się w rękach złoczyńców.

— Jake powiedział mi, że jeśli kto na świecie potrafi rozwiązać zagadkę zniknięcia mego męża, może to uczynić tylko Nick Carter.

— Kto to jest ów Jake?

— Prawda, zapomniałam... to pan Jake Burnet.

Ach tak — pomyślał Patsy — nowy dowód jak ostrożnym należy być w wyborze swych przyjaciół. Gdyby sprawa poszła według woli i chęci Burneta, nie oglądałby światła dziennego Vernon Wallace.

Jednak głośno spytał Patsy:

— Więc pan Burnet zawiadomił panią, iż zwrócił się do mego szefa?

— Tak jest, a właściwie zrobił to na moje gorące nalegania, bo gdy przyszedł Jake... a poprzedniego dnia wyszli razem z moim mężem... byłam tak rozdrażniona, że nie wiedziałam, co mam począć. Zaklinałam i prosiłam Jake'a tak długo, że wreszcie mi przyrzekł wezwać pomocy najlepszego detektywa.

— Pan Burnet dotrzymał przyrzeczenia — rzekł Patsy. — Czy pani zna pana

Burneta od dzieciństwa?

— Naturalnie, on jest moim kuzynem i my oboje bawiliśmy się wspólnie niemal od pierwszego roku życia, również i Vernon, gdyż jego rodzice i moi żyli w zażyłej przyjaźni.

— Zatem przyjaźń młodzieńcza połączyła panią z panem Vernonem?

— Tego nie mogę powiedzieć, gdyż jak długo byliśmy dziećmi, Vernon łągał bardziej do Jake'a aniżeli do mnie. A w żartach nazywano mnie i Jake'a nierozłącznymi i nasi rodzice życzyli sobie naszego połączenia.

— Ale życie pokierowało inaczej, jak to często bywa.

Pani skinęła głową poważnie i spojrzała na wielki olejny obraz przedstawiający jej męża.

— Przyszło to nagle — mówiła zagłębiona we wspomnieniach — byłam prawie po słowie z kuzynem Jakiem, wtem wrócił Vernon ze swej podróży naokoło świata, był taki dzielny, rycerski... i... ale po cóż to mówię? — przerwała sobie, rumieniąc się. — Daruje pan memu zapomnieniu się, ale w ostatnich dniach i nocach tyle trosk i kłopotów zważyło się na mnie, że nie zdaję sobie dobrze sprawy, co i jak mówię.

— Jeszcze jedno pytanie — mówił bardzo uprzejmie Patsy — czy pan Burnet zniósł obojętnie to zerwanie z panią? Daruje pani mej śmiałości, ale my detektywi musimy być dokładnie poinformowani, gdy idzie o rozwiązanie tak zawikłanej sprawy.

— O, panie, Jake jest człowiekiem honoru bez żadnego zarzutu. Nie zrobił mi nigdy wymówki z powodu mej chwiejności, przeciwnie, bywa u nas codziennie, a dawna przyjaźń z Vernonem raczej się wzmogła, tak że można by ich nazwać: nierozłącznymi.

Doskonały słuch młodego detektywa dosłyszał ciche westchnienie młodej, ładnej kobiety i na mgnienie oka jej twarz łagodna przybrała wyraz niechęci, jak gdyby miała powody być niezadowolona z tej czulej przyjaźni męża z Jakiem, jakkolwiek na zewnątrz miała słowa uznania.

Patsy osądził, że na razie dość się dowiedział, a nie chcąc naprzykrzać się pytaniami młodej kobiecie, pożegnał ją wkrótce.

Nick Carter wysłuchał z wielkim zadowoleniem sprawozdania swego młodego współpracownika.

— Nareszcie mamy pobudkę jego zbrodniczego czynu — mówił z namysłem. — Niedaremnie doszukuje się we wszystkich nadzwyczajnych zdarzeniach działania kobiety, a prawie zawsze w zbrodniach tego rodzaju. Świadomie czy nieświadomie, jako winna czy ofiara, zawsze kobieta jest sprężyną działania. I w tym wypadku jest tak samo. Zwykła, banalna zazdrość, nienawiść względem szczęśliwego współzawodnika, skłoniły tego bogatego, rozpieszczonego szczęściem człowieka do zbrodni. Nie wziął jednak w rachubę niezwykle silnych uczuć swej kuzynki... a gdy zażądała detektywa, zdawało mu się nader

korzystnym posunięciem się w jej łasce, odegrać stroskanego i udać się do mnie. O wiele byłby mądrzejszy, jeśli chciał zataić całą historię, gdyby mi był opowiedział zmyśloną bajeczkę, aniżeli coś prawdy, coś kłamstwa. Ten człowiek jest jednak nowicjuszem w zbrodni, bo i po cóż powiedział mi nazwę lokalu na Bowery?

Prawda, jesteś, Patsy, niezwykle przewidujący i domyślny — mówił Nick dalej — ale powiedz mi, dlaczego pani Wallace niechętnie patrzy na przyjaźń męża z Burnetem?

— To w porządku — uśmiechnął się Patsy.

— Więc mów.

— Z powodu zbyt częstego pijaństwa — odpowiedział młody. — Kuzynek ma

mocną głowę, zaś Wallace łatwo się upija. Więc Burnet postarał się, aby jego przyjaciel przychodził codziennie pijany do domu.

— A, zatem teoria obrzydzenia — mruknął Nick Carter i cicho zagwizdał. — Burnet obniżał męża w oczach kuzynki i przedstawiał go jako pijaka i człowieka bez charakteru i silnej woli, oczywiście w zamiarze pozbawienia go miłości i szacunku żony... Plan obmyślany zręcznie i przeprowadzony wytrwale, a kończy się nagłym zniknięciem znenawidzonego współzawodnika. Bez wątpienia ten Jake Burnet liczy na pewno, że zostanie następcą zaginionego.

— Kto wie? Może pani Wallace jest już dzisiaj wdową?

— Masz słuszność, Patsy, sprawa jest

groźna dla Wallace'a — powiedział Nick Carter z miną poważną. — Stoimy wobec jednego z takich faktów, że zbrodniarz, chociażby sam pragnął, nie może się już zawrócić. Jeszcze mu się zdaje, że on kieruje wypadkami, a w rzeczywistości one nim kierują. Są to zwykłe następstwa pierwszego złego czynu. On nie może oszczędzać życia swego przyjaciela, bo naraziłby siebie i upragnione owoce swego zbrodniczego czynu.

— W takim razie spieszymy się mistrzu — zawołał Patsy.

— Naturalnie — rzekł sławny detektyw. — Jedziemy zaraz do Hoboken.

Diabelski plan

Od dawna było zwyczajem Nicka Cartera rozpytywanie w sąsiedztwie o charakter mieszkańców i zwyczaje domu podejrzanego, zanim wszedł do niego i rozpoczął swe czynności.

Bez żadnej trudności dowiedział się od gadatliwego sąsiada, że dom podejrzany, stojący tuż u wjazdu do tunelu, zamieszkuje niemłode małżeństwo nazwiskiem Weasel.

Również dowiedział się, że kilka nocy temu zajechała przed dom, będący ruiną z powodu uderzenia piorunu, jakaś karetka i z niej wyniesiono wielki tłumok.

Nick Carter stanął na czatach i wkrótce ujrzał nadchodzącego Weasela i to, ku zadowoleniu detektywa, w towarzystwie pana Jake'a Burneta.

Gdy obydwaj weszli do domu, Nick Carter pospieszył do najbliższej stacji telegraficznej i zażądał natychmiastowego przybycia na miejsce swego doświadczonego pomocnika Chicka.

Wysławszy depeszę, udał się na swe dawne miejsce obserwacji.

Minęła godzina

We drzwiach domu pokazał się Burnet, a stary Weasel towarzyszył mu.

Przypadek sprzyjał Nickowi Carterowi, gdyż przy drodze, którą oni przechodzili, leżały złożone w stosy progi kolejowe, za którymi mógł się ukryć detektyw.

Przy ostatniej kupie progów zatrzymali się obydwaj, a śledzący mógł słyszeć każde ich słowo.

— Mogę więc liczyć na ciebie, Weasel? — spytał Burnet.

— Zawsze i wszędzie.

— Ty wiesz, nie pożałuję pieniędzy.

— No, to rozumie się samo przez się, gdyż polecenie pańskie nie jest przyjemne do wykonania.

Nick Carter wyteńczył słuch, aby nie uronić ni słowa z rozmowy, zwłaszcza owo nieprzyjemne polecenie nasunęło mu myśl, że idzie tu o zamordowanie Wallace'a.

Jeśli Vernon był w tym domu, to oni we dwóch ułożyli się, aby sprzątnąć go tej nocy.

Niestety, obaj przechodnie wyszli na

otwarte miejsce i Nick nie mógł śledzić dalej ich rozmowy, tyle jednak dostrzegł, że Burnet wręczył staremu paczkę banknotów.

Mimo że obaj przechodnie zginęli mu z oczu dość dawno, Nick nie opuszczał swej kryjówki i po pewnym czasie ujrzał zbliżającego się mężczyznę, którego mimo przebrania poznał. Był to Chick, jego pomocnik.

Szybko podszedł do niego i po uściśnieniu ręki opowiedział mu wynik swych poszukiwań.

Chick zajął miejsce opuszczone przez sławnego detektywa, który bez zwłoki udał się do New Yorku

Przybywszy do miasta, Nick Carter udał się wprost do centralnej siedziby agentów.

Mało kto wie, że większa część tajnych agentów pełni jedynie służbę wywiadowczą dotyczącą domów. Każdy dom wraz z mieszkańcami posiada swój oddzielny opis. Każda zmiana lokatorów jest tam zanotowana. Cały sztab agentów dba o ścisłość i sumienność opisu każdej zachodzącej zmiany w danym domu.

W New Yorku, zwłaszcza pomiędzy przestępcami, nazwisko nie ma żadnego znaczenia, zmienia się bowiem każdej chwili stosownie do potrzeby, dlatego też wykazy lokatorów są często chwiejne i mylne.

Jednak, gdy Nick Carter zwrócił się do jednego z urzędników po informację i wymienił nazwisko oraz miejsce zamieszkania, oddano mu natychmiast odpowiednie akta, z których się

przekonał, że Weasel jest stróżem zakładu spalania zwłok ludzkich. Zakład ten z powodu złego przewodu dymu nie został otwarty do czasu, póki nie wprowadzą odpowiednich zmian wentylacji i odprowadzania dymu.

Nick Carter, przeczytawszy, poczuł pewien niesmak i rozczarowanie, gdyż jeśli Burnet dał nieprzyjemne polecenie, mogło ono dotyczyć spalenia zwłok zamordowanego Wallace'a, ażeby wszelki ślad zbrodni zaginał.

Ta myśl nie zniechęciła jednak Nicka Cartera i najbliższym promem powrócił on do Hoboken.

Już gęsty zmrok zapadał, gdy detektyw przybył na miejsce, gdzie Chicka zostawił.

— Czy zdarzyło się co w mej

nieobecności? — spytał swego pomocnika.

— Niewiele... o godzinie trzeciej minut pięć stanął stary przed drzwiami i patrzył, jak gdyby kogoś oczekiwał. W pięć minut później znów wyszedł, a po dwóch minutach zajechał wóz z długą paką.

— Gatunek paki?

— Nieheblowana, używana zazwyczaj do transportowania trumien.

Nick Carter, chmurny, skinął głową.

— Tak, coś takiego przypuszczałem. Mów dalej, Chicku.

— O godzinie czwartej minut siedem, przyszedł do tegoż domu mężczyzna. Zdaje mi się, że gdzieś go widziałem, ale tego nie jestem, pewny,

— A sądzisz, kto on jest?

— Jake Burnet.

— Aha! No, dalej!

— Nie ma nic więcej do powiedzenia. Słyszałem jedynie Weasla, który polecił woźnicy, aby ze swym wozem przyjechał przed dom o godzinie siódmej minut czterdzieści. Byłby to czas oznaczony na teraz... i właśnie wóz się zbliża.

Istotnie, wóz, turkocząc, szybko jechał drogą i zatrzymał się przed drzwiami obserwowanego domu. Woźnica zeskoczył ze siedzenia, zapukał ostro w drzwi i został natychmiast wpuszczony.

— Chick, teraz baczność! — szepnął Nick Carter.

— Patrzę, mistrzu, gdyż jestem zdania, iż tu rozgrywają się podłe rzeczy.

— Zobaczysz dziwy.

— Widziałem, mistrzu, mego

pradziadka w stroju adamowym, gdy wyszedł z kąpieli. Byłem pewny, że to idzie kościotrup z kosą i od tego czasu przestałem się bać czegokolwiek. Może przestraszyłaby mnie prababka naga, ale na szczęście nie mamy jej w rodzinie.

— Bez tych dowcipów, Chick... Ten Weasel jest dozorcą zakładu spalania zwłok, jakkolwiek zakład nie funkcjonuje jeszcze. W swym domu przechowuje on ciało, którego chce się pozbyć... Zauważ, że nie mówię trupa, tylko ciało żyjącego człowieka uspionego jakimś środkiem narkotycznym. I ten człowiek żywy, chociaż nieprzytomny, zostanie dziś spalony.

Chick zagwizdał cicho.

— Czyż to możliwe, aby ktoś był tak okrutny i chciał spalić żywego człowieka?

— Te łotry nie cofną, się przed żadną zbrodnią zwłaszcza, że to jest dla nich jedynym wyjściem.

— Ależ to straszne!

— Nic straszniejsze od zwykłego mordu. Idzie zawsze o zniszczenie życia ludzkiego. Naturalnie musimy iść śladem tych łotrów aż do końca.

— Czy nie spostrzegą nas jednak?

— Sądzę, Chick, że bywaliśmy w gorszych opałach. Teraz musimy czekać na odjazd wozu.

— Burnet jest w grze. Nieprawdaż?

— On jest główną sprężyną i on zapoczątkował tę zbrodnię. Weasel jest tylko posłusznym narzędziem.

— Właśnie otwierają drzwi — przerwał Chick mistrzowi.

— Tak... idą...

Okna domu były ciemne, ale na białym tle ścian odbijały się sylwetkowe postacie i można było rozpoznać ich ruchy.

Drzwi stały otworem.

Pierwszy ukazał się woźnica, szedł wolno z rękami w tył podanymi, widocznie dźwigał wielki ciężar.

Następnie szedł Weasel.

Za nim zarysowała się trzecia postać męska, której, mimo szerokiego randa kapelusza i podniesionego kołnierza, można było poznać Jake'a Burneta.

Przed drzwiami trzech mężczyzn dźwignęli ciężka pacę i z wolna podeszli do wozu, na którym ją złożyli.

Na kozioł wskoczył woźnica, obok niego usiadł Burnet, zaś Weasel znalazł miejsce na pace.

Woźnica krzyknął na konie, śmignął

batem i wóz potoczył się szybko po drodze.

W krematorium

— Otóż jesteście.

Te słowa szepnął Nick Carter swemu towarzyszowi.

Zapadła już noc, gwiazdy błyszcząły na ciemnogramatowym niebie, a tuż przed dwoma śledzącymi wznosił się kopulasty, samotny budynek. Było to krematorium, czyli zakład palenia zwłok ludzkich.

Obydwaj detektywi, wzięwszy dorożkę, jechali w ślad za wozem, lecz w takiej odległości, że jadący przodem nie mogli ich widzieć. Obecnie stali przed budynkiem, w którym miał się odegrać

ostatni akt ponurego dramatu.

Przed wszystkim zależało Carterowi bardzo na tym, aby pochwycić złoczyńców w takiej chwili, w której by nie mogły im już pomóc żadne wykręty i musiała ich spotkać zasłużona kara.

Burnet i Weasel wraz z tajemniczą skrzynią byli już w budynku.

Dozorca rozniecił ogień i obaj złoczyńcy czekali póki piec nie rozżarzy się do białości, gdyż do spalenia zwłok ludzkich potrzebna jest wysoka temperatura.

Od przybycia detektywów upłynęła przeszło godzina.

Od czasu do czasu, Weasel próbował stopnia ciepłoty.

Stopniowo wzrastała temperatura w termometrze.

Jeszcze godzina, a stopień gorąca będzie dostateczny, aby spopielić zwłoki.

Nick Carter wskazał swemu pomocnikowi miejsce stosowne do ukrycia się, a sam zbliżył się do drzwi ośmiokątnego budynku.

Krematorium było otoczone drzewami i krzewami tak gęsto rosnącymi, że zasłaniały mury budynku przed oczyma przechodniów.

W domu paliło się światło.

Drzwi wejściowe były lekko uchylone, prawdopodobnie dla przewiewu świeżego powietrza.

Detektyw cicho uchylił nieznacznie drzwi i przez otworzoną szparę wsunął się bez szelestu do wnętrza budynku.

Zaledwie wszedł, przymknął drzwi leciutko.

W tej chwili znalazł się na tak widocznym miejscu, że wystarczyłoby odwrócenie się dwóch przestępców siedzących plecami do niego na wierzchu skrzyni, aby był natychmiast spostrzeżony.

Skrzynia była do połowy odsłonięta i Nick mógł zajrzeć do środka.

Omam nie krzyknął, zobaczywszy wewnątrz pustkę.

Czyżby wsunęli już ciało nieszczęśliwego Vernona Wallace'a do rozpalonego pieca?

To niemożliwe!

Z największą ostrożnością posunął się detektyw bliżej w nadziei, że może uda mu się podsłuchać rozmowę prowadzoną niemal szeptem.

Usiłowania jego nie pozostały bez skutku. Gdy się zbliżył, posłyszał

rozmowę, która go bardzo zajęła.

— Weasel, czy jesteście pewni, że nie powstaną jakieś podejrzenia? — spytał Burnet.

— Tylko bez obaw, już ja się postarałem o to — odrzekł stary swobodnym głosem. — Zna mnie pan przecież jeszcze z czasów, gdy byłem odźwiernym w domu rodziców pana. Czyż nie umiałem wszystkiego tak urządzić, aby młody pan miał zupełną swobodę? Co? Czy nie tak było?... Zresztą niedopalone resztki w krematorium ogląda z urzędu znany nam przyjaciel, który dziś sam znajdzie się w piecu.

— Prawda, Weasel, zawsze byliście mi wierni, ale też nie możecie narzekać na moje skapstwo. Wracając jednak do rzeczy, w jaki sposób usprawiedliwicie

się z rozpalenia pieca w dniu dzisiejszym?

— Czy w szafie, w której chwilowo umieściliśmy naszego przyjaciela, nie widział pan nic więcej?

— Owszem... zdaje mi się że leżało tam martwe ciało.

— Otóż ma pan wyjaśnienie.

— Nie rozumiem.

— Zaraz panu wytłumaczę. Dyrektorowie krematorium rozkazali mi zrobić dzisiejszej nocy próbę z nowym urządzeniem komina. Jutro po południu przyjdzie komisja odbiorcza, aby zbadać spalenie zwłok. W tym celu przysłano mi martwe ciało... No, i nie ma człowieka, który by mógł rozróżnić, jakie zwłoki spaliłem w piecu.

Burnet zaśmiał się.

— Weasel, wy jesteście jednak bardzo przebiegli. A co zrobimy z tą paką drewnianą?

— Spalimy ją, i może mi pan wierzyć, że drewno pali się szybciej i wydaje mniej dymu.

W czasie tej rozmowy, Nick Carter upatrzył sobie miejsce stosowne do ukrycia się, takie że Weasel idący do pieca nie mógł go dostrzec.

Oczy detektywa przyzwyczały się do panującego półmroku, gdyż obszerny budynek był oświetlony jedną olejną lampą. Obecnie rozróżniał on wyraźnie wszystkie otaczające go przedmioty.

Wkrótce Weasel powrócił.

— Jaka temperatura?

— Wszystko idzie dobrze, wkrótce piec będzie gotów i będziemy mogli

wsunąć naszego „przyjaciela”.

— Nie, tego nie chcę widzieć —
wzdrygnął się Burnet.

— Zależy to zupełnie od woli pana, zresztą cała historia odbywa się prosto i łatwo. Zwłoki składa się na ruszt żelazny umieszczony na kołach. Przy pomocy dźwigni otwiera się piec, zwłoki na ruszcie wsuwają się do wnętrza, naciskam sprężynę, ruszt wyrzuca ciało, wycofuję ruszt na kołach, zamykam drzwiczki pieca, otwieram zasuwę, przez które wchodzi rozpalone powietrze, i zaczyna się przedstawienie.

— Jak długo trwa proces spalenia? —
spytał Burnet niepewnym głosem.

— Od sześciu do ośmiu godzin. W każdym razie skończymy przed wschodem słońca.

— A dalej, co robicie?

— Oczyszczam piec i czekam przybycia komisji.

— Czy można zajrzeć do pieca?

— Naturalnie... To bardzo ciekawy widok, gdyż zwłoki pod wpływem gorąca i tężenia kości pacierzowej wykonują dziwne ruchy. Zmarły podnosi się, jak gdyby chciał wstać, znów się układa i znów się wypręża. Powinien by pan to zobaczyć, taka dobra sposobność rzadko się przytrafia.

— Za nic na świecie — jęknął Burnet słabym głosem. — Widok taki prześladowałby mnie do końca życia.

— Co za dziwna wrażliwość! — zaśmiał się stary. — Zmarłych nie trzeba się obawiać, oni nie wracają... A zresztą ten gatunek pogrzebu jest najdoskonalszy.

Wolę przecież spalenie, aniżeli pożarcie przez robaki w ciemnym grobie.

— Zapewne, Weasel, ale zapominacie, że nie jest to zwykły pogrzeb.

— A prawda, ten człowiek żyje...

— Pst! Nie mówcie tak głośno. I ściany mają uszy.

Weasel wzruszył ramionami.

Po chwili wstał, mówiąc:

— Zdaje mi się, że pora złożyć ciało na ruszcie.

— A ja pójdę odetchnąć świeżym powietrzem, bo tu panuje piekielne gorąco

— rzekł Burnet, wstając.

— Powinieneś pan przyzwyczać się już teraz do piekielnego gorąca — zażartował stary.

— Głupi dowcip — zawołał oburzony Burnet. — Gdybym nie był przekonany, że

piekło jest głupim wymysłem, jeszcze w tej chwili odstąpiłbym od zamiarów moich.

Zapalił cygaro i zawołał u drzwi:

— Zawołajcie mnie, skoro wszystko będzie gotowe.

— Naturalnie. Ja przygotowuje wszystko, ale pan sam otworzy piec i wsunie tam ruszt wraz z ciałem.

— Ależ dziecinny jesteś, mój stary, czyż nie wszystko jedno, kto z nas to zrobi — uśmiechnął się z przymusem Burnet.

— No, nie tak bardzo — odezwał się stary. — Jednym naciśnięciem niszczy się życie ludzkie. Można by to nazwać morderstwem.

Burnet nic nie odpowiedział, lecz szybko opuścił budynek, gdy jego współnik przeszedł do przyległej izby.

Był to dla Nicka Cartera czas najwyższy do rozpoczęcia działania, jeśli szło o przeszkodzenie ohydnej zbrodni.

Jednak w tej chwili wrócił Weasel i począł wlec za sobą wielki i ciężki przyrząd.

Nick nie mógł opuścić swego miejsca, gdyż przedwcześnie byłby spostrzeżony.

I znów wszedł stary.

Detektyw zauważył, że Weasel zamyka starannie drzwi za sobą.

Jakąś chwilę pokręcił się w głównej halli i zwolna poszedł w kierunku rozpalonego pieca. Wracając, mruknął głośno do siebie, że czas rozpocząć robotę.

Spokojnie skierował się teraz do drzwi wejściowych, aby zawołać Burneta, który sam przez naciśnięcie miał wsunąć

ruszt z ciałem przyjaciela do gorejącego pieca.

Zaledwie Weasel opuścił wewnętrzną halę, gdy Nick osądził, iż przyszła chwila działania. Jeśli Vernon Wallace miał być ocalony, to tylko teraz.

Uratowanie Wallace'a

— Chick!

— Jestem.

— Dramat się rozpoczyna!

— Sądziłem, że przez omyłkę ciebie
prażą w piecu.

— Za wcześnie. Spójrz teraz przez to
okno, wleź na beczkę, będziesz mógł
patrzeć.

Chick zrobił, co mu rozkazano.

— Cóż widzisz?

— Dwaj spiskowcy stoją obok siebie.
Burnet kładzie rękę na jakiś metalowy
przyrząd, podobny do wentylu
bezpieczeństwa przy lokomotywie.

— To dźwignia. Jeśli ją naciśnie, otworzą się drzwiczki pieca, a ruszt na kółkach wraz z ciałem posunie się do wnętrza. Naciśnie powtórnie, pusty ruszt wróci, a hermetyczne drzwi zamkną piec.

— Czy oni przygotowali wszystko?

— Naturalnie. Weasel położył ciało na ruszcie przed dziesięciu minutami.

— Ach, mój Boże!

— Cóż tam?

— Burnet nacisnął — szepnął Chick podrażniony.

— Słuchaj!

Z drugiego przedziału halli dał się słyszeć turkot kół, toczących się po szynach. Nastąpiło gwałtowne uderzenie zamykających się drzwiczek.

— Stało się — powiedział Nick Carter spokojnie.

Chick spadł niemal z beczki.

— Czy sądzisz, że oni... że mimo ...
ależ nie ... to niemożliwe, abyś ty...

— Nie zapominaj, Chick, że byłem w
tamtym przedziale — szepnął Nick,
śmiejąc się.

— Nie... to niemożliwe!

— Ale prawdziwe. Byłem tam sam
przez pięć minut i możesz się domyślać,
że nie próżnowałem.

— Cóż zrobiłeś?

— Przemieniłem ciało ludzkie w
cielejące zwłoki.

— Słuchaj, Nicku, nie czas na żarty.
Wprawdzie często się trafia, że ludzie
bywają wołami, ale...

— Mój kochany, ty robisz niesmaczne
dowcipy. Wiesz, drżałem przez cały czas
operacji, aby któremu z łotrów nie

zechciało się zbadać bliżej przedmiotu leżącego na ruszcie... To byłoby fatalne.

— To jest już wykluczone na szczęście... Cóż dalej? — dopytywał się Chick.

— Otóż, oni znajdą kupę popiołu, a ponieważ podobieństwo pomiędzy człowiekiem a cielęciem jest niestety za częste, więc i oni po resztkach spopielonych niczego się nie dopatrzą.

— Nicku, to wspaniałe! — zawołał Chick ze szczerym podziwem. — I jeszcze pytanie, gdzie on?

— Ciało?

— Tak jest.

— W tej szafie, gdzie leżało cielę.

— Lecz jak my go dostaniemy?

— Sądzę, że przyjdzie czas i na to. Na razie musimy czekać spokojnie i być w

pogotowiu. A jak nie będzie można inaczej, użyjemy gwałtu.

Mówiąc to, wskoczył Nick na beczkę, aby zajrzeć przez okno.

Zobaczył dwóch współników, i zdawało mu się, że Weasel spojrzał podejrzliwie na okno.

W jednej chwili Nick zeskoczył, pochwycił beczkę, ukrył ją w krzaku i sam się schował.

To samo zrobił Chick, przyzwyczajony iść ślepo za swym mistrzem.

Obydwaj byli tuż obok siebie, a Chick zaszeptał:

— Co się stało?

— Czeka! Cicho!

Z budynku wybiegł Weasel, podbiegł do okna, przez które patrzyli detektywi. Tuż za nim zjawił się Burnet.

— Cóż cię podleciało, stary? — spytał tonem zgryźliwym. — Twoje zachowanie się jest drażniące, a po dzisiejszych przejściach nie jestem w humorze.

— Zdawało mi się, że ujrzałem twarz mężczyzny w oknie... Zapewne były to gałęzie drzewa.

— Oczywiście.

— Czy pan już odchodzi?

— Tak jest, muszę wrócić do miasta. Mówiłeś, że pociąg odchodzi za pół godziny.

— Za dwadzieścia minut.

— Więc dobranoc. A pamiętajcie, Weasel, o naszej umowie, liczę na was.

— I nie zawiedzie się pan, już urządzę wszystko dokładnie. Mam zresztą dosyć czasu i odprowadzę pana na dworzec.

— A jego zostawisz?

— Ba, cóż mu się stanie?

Nick ścisnął gwałtownie ramię swego pomocnika.

Widzieli, jak Weasel zamknął drzwi na klucz, podjął i zapalił latarnię i rozmawiając z Burnetem, poszedł w kierunku, dworca.

Stacja drogi żelaznej była w pobliżu.

Jeśli detektywi chcieli skorzystać z nadarzającej się sposobności, musieli natychmiast zaczynać.

Gdy chwiejne światło latarni niesionej przez Weasela zniknęło na drodze, Nick szybko pobiegł wraz z pomocnikiem do krematorium.

Otworzenie zamka było drobnostką dla Nicka, który zawsze nosił przy sobie specjalny wytrych.

Był to mały, bardzo sprytnie przez

Nicka obmyślony przyrząd, którym mógł on otworzyć tak dobrze drzwi bramy jak i misterny zamek.

W kilka minut drzwi były otworzone i obydwaj weszli do wnętrza.

Po marmurowej posadzce przeszli do następnych drzwi.

Te nie były zamknięte.

W drugim przedziale panowało przerażające gorąco z powodu bliskości pieca.

Gdy Nick Carter otworzył drzwi ściennej szafy, ujrzał przy świetle swej ręcznej elektrycznej latarki, postać mężczyzny, leżącą bez życia.

— Dalej Chick, pomóż mi!

Wezwany pochwycił ciało za nogi i szedł przodem, podczas gdy Nick niósł górną część ciała. W przechodzie zamykał

drzwi za sobą, aby nie zostawić śladu po sobie.

Gdy wyszli z budynku a Nick Carter zamknął na klucz drzwi wejściowe, odetchnęli detektywi. A Chick spytał:

— Cóż teraz?

— Musimy jak najprędzej przenieść nieszczęśliwego w bezpieczne miejsce.

Weszli w gęste zarośla.

Oddaliwszy się od krematorium przystanęli, aby wypocząć, a Chick przemówił:

— Wszystko udało się znakomicie, lecz wiesz, Nicku, popełniliśmy błąd.

— Masz na myśli ciełę?

— Tak jest. Jeśli stary zechce zabrać ciełę, poweźmie podejrzenie.

— Wierzę, lecz może przypuścić, że wraz z ciałem włożył i ciełę na ruszt, a w

każdym razie będzie się wystrzegał rzecz słówko Burnetowi o zniknięciu cieleńca.

— To prawda.

— Czyś wypoczął?

— Już, idźmy!

Podnieśli ciało, które było nie tylko bezwładne, ale i zimne. Każdy mógłby sądzić, że detektywi niosą trupa.

Nick Carter był jednak innego mniemania.

Miał on powody sądzić, że Vernon Wallace znajduje się pod wpływem działania narkotyku, który ubezwładnił wszystkie członki i mięśnie. Takie roślinne trucizny są znane, na przykład kurara. Wstrzyknięta w krew powoduje kurcz podobny do śmiertelnego, jakkolwiek otruty żyje jeszcze przez tydzień, a wszelkie usiłowania lekarzy są

bezowocne. Dopiero zastrzyknięcie antidotum pomaga i pozornie umarły odzyskuje przytomność.

Gdy niosący ciało usiedli na spoczynek, krematorium zostawili już daleko za sobą.

Nick Carter wyjął elektryczną lampkę i podał ją pomocnikowi.

Sam wyjął z kieszeni wąskie pudełeczko, otworzył, wziął lancet do ręki.

Nachyliwszy się nad leżącym ciałem, obnażył ramię tegoż i zagłębił lancet w skórę.

Obydwaj przypatrywali się z natężeniem małej ranie, a gdy na powierzchni ukazała się kropla krwi, skinęli do siebie głową.

— Jest krew, więc żyje — odezwał

się Nick Carter z westchnieniem ulgi.

— Bogu dzięki, żyje! — dodał Chick.

Przed domem pani Wallace

W całym New Yorku nie było chyba szczęśliwszego człowieka aniżeli Jake Burnet.

Wszystko mu się powiodło. Człowiek, wobec którego udawał przyjaźń, który uchodził za przyjaciela z lat dzieciennych, a którego jako szczęśliwszego współzawodnika nienawidził z całej duszy, został usunięty, jego popioły rozniosły wiatry na cztery strony świata, a piękna i młoda wdowa była wolna.

Brakowało małej drobnostki, aby powodzenie Jake'a Burneta było zupełne.

Gracja Wallace nie chciała dotychczas

uwierzyć w śmierć męża.

Dla Burneta była to niemiła przeszkoda, i żałował, iż swego współzawodnika nie kazał usunąć w inny sposób. Najęci zbóje mogli go przecież zamordować w jakim zaułku lub przy grze.

W ten sposób młoda żona byłaby pewna śmierci męża, a teraz ciągle żywi nadzieję, że ujrzy go jeszcze zdrowego.

Jake Burnet po namyśle znalazł sposób wyjścia. Należało wyłowić z East River zwłoki mężczyzny, naturalnie przegniłe, umieścić w kieszeni topielca przedmioty należące do Vernona Wallace'a i w ten sposób usunie się wątpliwości.

Takie odnalezienie zwłok potwierdziłoby również opowiadanie jego o jaskini gry w Bowery, jak też

relację Nicka Cartera o duszeniu ofiar.

Jake Burnet miał stosunki z różnymi zbrodniarzami, a przeprowadzenie komedii wyłowienia ciała nie było trudne dla niego.

Już na drugi dzień po rzekomym spaleniu nieszczęśliwej ofiary w krematorium, wyłowiono w East River zwłoki, a w kieszeniach znaleziono drobiazgi, które mogły być jedynie własnością zaginionego Vernona Wallace'a.

Przy badaniu topielca okazało się, że był on ofiarą zbrodni. Twarzy nie można było rozpoznać, ale szyja topielca była przetrzięta.

Przy trupie nie znaleziono żadnych pieniędzy i kosztowności, była jednak papierośnica z monogramem, scyzoryk,

srebrny wykluwacz szczególnej formy i tym podobne przedmioty.

Znajomi nieszczęśliwego Vernona Wallace'a zeznali przed sądem, że są to jego zwłoki.

Naturalnie Jake Burnet, „niepocieszony przyjaciel”, został pierwszy powołany do rozpoznania zwłok topielca, on też, wskazując na przedmioty znalezione w ubraniu, zdołał przekonać pewną ilość znajomych, że ów topielec jest nieszczęśliwym Vernonem Wallace'em.

Wdowa pragnęła zobaczyć zwłoki swego męża tak okrutnie zamordowanego. Jednak Jake Burnet umiał odwieść swą kuzynkę od tego zamiaru, wreszcie ona sama nie chciała zepsuć sobie wrażeń miłych, dawniejszych widokiem ciała w

rozkładzie, obrzmiałego i pokaleczonego.

Wreszcie wręczył Burnet swej kuzynce pierścień ściągnięty jakoby z ręki topielca. Był to pierścionek zaręczynowy, dany Wallace'owi przez szczęśliwą narzeczoną, a z którym on na chwilę się nie rozłączał.

Pierścionek usunął wszelką wątpliwość młodej wdowy.

Teraz wiedziała, że jest wdową i straciła wszelką nadzieję odzyskania ukochanego męża.

Jake Burnet należał do tego rodzaju ludzi, którzy wiedzą, że tylko wytrwałość prowadzi do celu, a niecierpliwość gubi najlepiej obmyślony plan.

Wprawdzie oczy jego patrzyły pożądliwie na piękną młodą kobietę, lecz słowo miłość nigdy nie wyszło z ust jego.

Zdawało się, że wkrótce trawa porośnie nad całą tą niemiłą sprawą.

Jake Burnet oddychał coraz swobodniej, aż wreszcie doszedł do przekonania, że jego zbrodniczy pomysł udał się pod każdym względem i że nie ciąży na nim nawet cień podejrzenia.

Z Nickiem Carterem, w czasie rozmowy wyszedł, według swego mniemania, bardzo mądrze i dyplomatycznie.

Stary wojskowy siedział już od dłuższego czasu w więzieniu i każdej chwili mógł być też aresztowany jego współnik, gospodarz lokalu przy Bowery.

Prawda, że stary, kulawy człowiek trwał przy swym zeznaniu, iż on nie zabił Vernona Wallace'a, lecz że Burnet wrócił po swego przyjaciela i wraz z nim

odjechał.

— Są to zwykłe wybiegi złoczyńców — objaśniał Nick Carter Burneta, gdy ten go odwiedził, a powiedział to takim tonem, że przestępca najzupełniej uwierzył, iż Nick Carter był przekonany o prawdziwości jego opowiadania. — Jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że mordercy, idąc na stracenie, przysięgają, że są niewinni, a oskarżają kogoś innego. Wprawdzie policjant twierdzi, że owej nocy przed lokalem dwóch mężczyzn wsiadło do karety, ale to nie jest dowiedzione i nie da się dowieść. Według mego zdania, panie Burnet, puść pan całą sprawę w niepamięć

— Czyż śmierć mego przyjaciela ma zostać niepomszczona? — zawołał Burnet z oburzeniem doskonale udanym.

— Naraża się pan na długi proces bez żadnego rezultatu — odpowiedział detektyw po namyśle. — Materiału dowodowego przeciw dwóm łotrom nie posiadamy, zginął wraz z domem spalonym doszczętnie. Skończyłoby się tylko na domysłach. Dzienniki rozpisywałyby się o tym długo i szeroko, aby wyzyskać niezwykłą przygodę. Młoda wdowa po pańskim przyjacielu byłaby ciągnana po sądach, miałyby tysiączne kłopoty... i po co to wszystko? Dowód zbrodni dwóch łotrów jest niemożliwy do przeprowadzenia przed sądem.

Te słowa uspokoiły Burneta i nie nalegał na przeprowadzenie procesu przeciw mordercom „swego najukochańszego przyjaciela”.

Że też najgłupszy złoczyńcy są

najbardziej zarozumiali — pomyślał Nick Carter, patrząc za odchodzącym Burnetem. Niechże cię ukołysze twoje bezpieczeństwo, tym dotkliwiej poczujesz cios, skoro zwiążę łańcuch dowodów.

Tego samego wieczora, Nick Carter, około dziewiątej godziny, szedł obok wspaniałego domu niegdyś własności Wallace'a, dziś wdowy, i spotkał się z jednym ze znajomych. Ten widocznie nie chciał być poznany, gdyż spuścił szerokie rondo kapelusza, a pół twarzy ukrył w nastawionym kołnierzu.

— Znów na posterunku, kochany przyjacielu — przemówił Nick Carter, dotykając ramienia znajomego. — Pozbądź się pan wszelkich podejrzeń, żona pana jest czysta jak łąza.

— Ja też nie wątpię w moją żonę —

odpowiedział zagadnięty — ale postaw się pan w moim położeniu. Gracja ma mnie za umarłego, wszak doręczono jej świadectwo mojej śmierci. A ten łotr, który ośmiela się nazywać moim przyjacielem, jakkolwiek sądzi, że zamordował mnie w ohydny sposób, ten jest codziennym gościem u mojej żony.

— Współczuję z panem — rzekł Nick Carter — i zapewne najchętniej rozdałby go pan w kawałki.

— Z całą rozkoszą.

— Cierpliwości, przyjacielu... nie zapominaj, że Jake Burnet przez całe lata zatruwał serce żony pańskiej i wpajał jej przekonanie o występnych skłonnościach pana. Zanim pan zmartwychwstanie, musi pan na nowo zdobyć miłość zawsze panu wiernej żony, zarazem szacunek jej i

zaufanie, gdyż bez tego małżeństwo nie może być szczęśliwe.

— Ach, ten łotr... każdego wieczora namawiał mnie do wyjścia z domu, aby szukać przygód. Opierałem się, ale w nadziei, że uchronię mego przyjaciela z lat dzieciennych od rozpusty, towarzyszyłem mu wszędzie, do najgorszych knajp... a on tymczasem przekonywał moją żonę, że mnie nęca podłe kobiety, że nie mogę żyć bez upijania się w najgorszych towarzystwach... i tę komedię grał ciągle aż wreszcie stałem się wstrętnym mojej żonie, miejsce miłości zajęła litość. Ach, panie Carter jakże muszę się przewycięzać, aby tego łotra nie udusić własnymi rękami.

— Tym zepsułyby pan wszystkie nasze plany i swoją przyszłość — rzekł

poważnie Nick Carter. — Przyrzekł mi pan być cierpliwy, więc dotrzymaj pan słowa. Jeszcze raz zapewniam pana, że dam panu sposobność zderzenia maski z tego łotra w obecności pańskiej żony. Wówczas zrozumie ona całą nikczemność i podłość swego kuzyna.

Zamiast odpowiedzi Vernon Wallace uścisnął rękę Cartera.

— Czy on znów u żony pana?

— Tak jest.

— „Szczery, serdeczny przyjaciel” — zauważył Carter z ironią.

— Niestety.

— W którym pokoju są obecnie?

— W bibliotece... pewno czyta głośno.

— Teraz trochę cierpliwości, musimy czekać na niego. Mam zamiar dzisiaj go śledzić, a jeśli wszystko pójdzie

normalnie, za trzy dni zdemaskuje pan łotra.

Obydwaj weszli w głęboki cień, skąd widać było doskonale dom Wallace'a, rozmawiali ze sobą cicho, aż wreszcie po godzinie wyczekiwania, spostrzegli ruch w mieszkaniu.

Detektyw ścisnął ramię Wallace'a, aby zachował się spokojnie.

Drzwi wejściowe kamienicy otworzyły się, na ulicę padł jasny promień światła i mężczyzna wytwornie ubrany wyszedł na ulicę, pożegnawszy się z młodą kobietą noszącą grubą żałobę.

Gdy przechodził obok wgłębienia, gdzie stali dwaj przyjaciele, usłyszeli go nuącego popularną arię z teatrzyków ogródkowych.

Jake Burnet był oczywiście w

najweselszym usposobieniu i ani się spodziewał, że przeszedł tuż obok człowieka, którego spalił w krematorium po drugiej strony Hudson River.

Uprowadzenie pani Wallace

Gdyby Jake Burnet był widział, że jedna z postaci stojących w głębokim cieniu ze zadziwiającą zręcznością zaczęła go śledzić, nie byłby tak pewny siebie i nie nuciłby swobodnie wesołej piosenki

Na rogu ulicy Burnet skinął na dorożkarza i kazał się zawieźć do wspaniałej, nowomodnej kawiarni w bogatej dzielnicy przy Union Square, w pobliżu Flat-Iron Buildings.

Nick Carter, wsiadłszy również w dorożkę, jechał w ślad za nim.

W kawiarni urządzonej z wielkim

przepychem widocznie znano Jacka Burneta, gdyż usługujący garsoni witali go niskimi ukłonami.

— Czy był doktor Welker? — spytał Burnet głośno.

— Zapewne przyjdzie za chwilę — odpowiedział pospiesznie zapytany garson. - Może pan raczy zaczekać. — Wskazał na wolny stolik stojący pomiędzy dwoma oknami.

— Dobrze... Szklanę mego grogu — rozkazał i zajął wskazany stolik — a gdy przyjdzie doktor Welker, proszę mu powiedzieć że czekam.

— Rozumiem — skłonił się garson.

Nick Carter, słysząc pytanie Burneta, trochę się zdziwił.

Doktor Welker należał do doktorów będących w modzie, a których klientela

składała się głównie z bogatych pań. Cóż za interes może mieć Burnet do doktora? Chyba, że pani Wallace jest chora?

W pobliżu stolika Burneta, w zagłębieniu okna usiadł Nick Carter, kazał sobie podać kawy czarnej i zagłębił się w czytaniu dziennika.

Wkrótce nadszedł doktor Welker, brunet przystojny, ubrany z wielką elegancją i zbliżył się do stolika Burneta.

Po kilku słowach powitania, które wskazywało na zażyłość obu mężczyzn, kazał Burnet przynieść drugą szklanę grogu, i zaczęli ze sobą półgłosem rozmawiać.

Mimo że Nick Carter cały zamienił się w słuch, udało mu się pochwycić zaledwie kilka słów wymówionych głośniej.

— ...Wallace niepocieszona... —
mówił Burnet — ...żadnej rozrywki...

— A przyjaciółki... — dalsze słowa
doktora przygłuszył hałas kawiarni.

— Chyba Bella Bertram... —
doleciało do uszu detektywa.

W kilka chwil później garson przyniósł
papier listowy, atrament i pióro. Doktor
pisał, słuchając szeptów Burneta.

Po napisaniu listu Burnet serdecznie
dziękował doktorowi i chowając list do
portfela, powiedział:

— Nie zapomnę ci tej przysługi...
biedna kobieta... jedyna rozrywka.

Dwaj mężczyźni zaczęli rozmawiać o
nowinach dnia, teatrach i koncertach, o
liście nie było żadnej wzmianki.

Nick Carter miał opuścić swe miejsce,
dowiedziawszy się z rozmowy, że Burnet

z doktorem mają się spotkać w klubie, gdy do stolika przy stąpił ich wspólny znajomy i poprosił doktora na kilka słów.

— Byle nie na długo — zaśmiał się Burnet — zresztą siądźcie tutaj, mam do załatwienia mały interes i wkrótce wrócę.

W ślad za Burnetem poszedł Nick Carter. Widział jak stanął na trotuarze jasno oświetlonym, rozejrzał się wokoło i zwolna poszedł w stronę dorożek stojących w szeregu opodal.

Na samym czele stała kareta oznaczona numerem 747.

W jednej chwili Nick Carter zrozumiał sytuację i chwytając za rękę małego chłopca roznoszącego gazety, szepnął mu:

— Dostaniesz pół dolara, idź za tym panem — wskazał na Burneta — i posłuchaj co mówi dorożkarzowi... Spiesz

się... Czekał tutaj.

Uradowany chłopak kocim krokiem pobiegł. Carter widział, jak kręcił się koło dorożek, zachęcając do kupna wieczornego dziennika, a gdy dostrzegł zbliżającego się Burneta do karety numer 747, poskoczył w tę stronę.

— Ten mi się udał — szepnął z zadowoleniem Nick Carter.

W kilka, chwil później zobaczył Carter Burneta oddalającego się od stanowiska dorożek, a znacznie wyprzedził go biegnący chłopak.

Carter, nie spuszczać oczu z Burneta, cofnął się z chłopakiem w cień.

— Słyszałeś?

— Zamówił dorożkę na jutro, wieczorem, róg Irving Street.

Zapłaciwszy chłopcu, poszedł Carter

znów do kawiarni.

Czoło jego było zasepione.

Irwing Street to ulica, przy której mieszkała pani Wallace. Ten list... zamówienie Hagana z karetą numer 747... to wskazywało na nowe jakieś łajdactwo Burneta.

Wkrótce doktor wraz z przyjacielem wyszli, skinęli na dorożkę i kazali się wieźć do klubu.

* * *

I następnego wieczora podły przestępca, mniej więcej o tej samej godzinie, opuścił dom tak haniebnie oszukanego przyjaciela.

Tym razem jednak nikt nie wysunął się z cienia i nikt go nie śledził.

Tej samej nocy, dobrze po jedenastej, ktoś zadzwonił do mieszkania pani Wallace, a gdy służący, który właśnie miał iść na spoczynek, otworzył drzwi, ujrzał jakiegoś człowieka z listem w ręku.

— Dla pani Wallace! — rzekł nieznajomy, wręczając list, i natychmiast zbiegł na dół po schodach,

Służący namyślał się chwilę, spojrzął przed dom i ujrzał karetkę dorożkarską oznaczoną numerem. Podszedł bliżej i odczytał, był to numer 747.

Nadeszła pokojówka i spytała się, kto dzwonił tak późno. Służący zamiast odpowiedzi podał jej list, który pokojówka zaniosiła do sypialni pani.

Zdziwiona niespodzianym listem obejrzała go dokładnie i poznała z adresu, że pisał go ktoś nieznajomy.

— Ach to list z wiadomością o pani Bertram — rzekła po chwili, a odczytawszy dodała: — Bella zasłała i pragnie mnie widzieć. Zdaniem doktora Welkera moja obecność mogłaby ją uspokoić... Tylko, że tak późno... ale jednak Bella jest moją przyjaciółką... Milly, czy jest powóz? Zobacz.

— Tak, pani.

— Czy ich woźnica?

— Zdaje się, że to stary Roland.

— W takim razie pojedę, ale, Milly, będziesz mi towarzyszyła.

Pokojówka poszła szybko do swego pokoju, ażeby się przebrać.

Dziwnym zbiegiem okoliczności przed dwoma dniami pani Wallace w rozmowie ze swym kuzynem Jakiem Burnetem wspomniała, że jej przyjaciółka czuje się

niezdrowo i obawia się jakiejś ciężkiej choroby.

W jakiś czas pani wraz z pokojówką opuściły mieszkanie.

Przed domem czekała karetka, było jednak tak ciemno, że nie było widać rysów woźnicy.

— Czy to wy, Rolandzie? — spytała, pani Wallace.

— Tak pani.

— Pojedziecie wprost do pani Bertram.

— Tak jest.

— Ależ to nie wasz powóz?

— Wczoraj nie miałem szczęścia i najechałem na wóz ładowny. Wypożyczyliśmy sobie tę karetkę.

Te odpowiedzi uspokoiły panią Wallace i wsiadła bez wahania do karety

wraz z pokojówką.

— Ten zapach publicznych karet przyprawia mnie o mdłości — rzekła Milly, krzywiąc ładną buzię i przybierając tony wielkiej pani.

Pani Wallace nic nie odpowiedziała; niepokój o przyjaciółkę, pochłaniał ją całkowicie.

Gdy kareta pędziła ulicami miasta, nie przyszło na myśl jadącym kobietom, że na koźle nie siedzi znany z wierności woźnica pani Bertram. W rzeczywistości była to ta sama dorożka, w której Nick Carter przed dwoma dniami odbył swą niebezpieczną podróż.

Zaledwie kareta ruszyła sprzed domu pani Wallace, rozległ się cichy gwizd na ulicy.

Dwie postacie spotkały się na chodniku.

— Carter?

— To ja... teraz przyszedł czas do działania.

Vernon Wallace ścisnął rękę detektywa gorąco.

Nick Carter w kilka minut po odjeździe pani Wallace wsiadł z Vernonem do dorożki, której surowo polecił nie spuszczać z oczu karety jadącej przed nimi.

Zapach panujący w karecie wydawał się pokojówce coraz bardziej trącający „pospółstwem”, ale na próżno starała się spuścić okno karety, gdyż dorożkarz, nauczony doświadczeniem z Carterem, umieścił w karecie przyrząd niedozwalający otworzenia okien.

Zniechęcona Milly oparła się o poduszki, trzymając przy ustach

wyperfumowaną chusteczkę.

Zapach nazwany przez pokojówkę prostackim był naprawdę podstępny gazem wchodzącym z balonu do karety, który począł wywierać swe skutki na zamknięte kobiety.

Za późno zbudziła się pani Wallace ze swych smutnych rozmyślań, zerwała się ze siedzenia, chciała zapukać na woźnice, lecz zabrakło jej sił i padła na poduszki w głąb karety.

Kilka razy jęknęła cicho i straciła przytomność.

* * *

Gdy Gracja Wallace wróciła do przytomności znalazła się w nieznanym sobie pokoju.

Milly była przy niej i tylko usilnym staraniami swej pokojówki, zawdzięczała pani, że stosunkowo dość szybko przysłała do przytomności.

— Gdzie jesteśmy, Milly?

— Sam Pan Bóg wie.

Gracja podniosła się, starając zebrać swe myśli.

— Musiano nas oszołomić w karecie

— powiedziała słabym głosem, dotykając ręką swego jasnego czoła.

— Zapewne to ten prostacki zapach podziałał na moje nerwy... Ach pani, obawiam się, że wprowadzono nas do tego pustkowia, aby nas jak kurczęta pozarzynać.

Ten strach pokojówki i jej słowa wywołały słaby uśmiech.

— Co też, Milly, wygadujesz, w jakim

celu miano by nas zabić?

— A cóż zrobią z nami? — zawołała Milly, szlochając.

— Zdaje się, że idzie tu o wymuszenie pewnego okupu. Przed laty piętnastu, gdy podróżowałam po Włoszech z ciotką Konstancją i kuzynkiem Jakiem, napadnięto na nas w Abruzzach i trzymano aż do chwili uiszczenia wielkiego okupu. Jeszcze dziś widzę, jak się bał kuzynek, gdy ten Rinaldo groził nam odcięciem nosa i uszu. Jake bał się tak, jak mogła się bać moja stara ciotka, a nawet przewyższał ją pod tym względem.

— Ale dlaczego mnie zabrano z panią? — załamywała ręce pokojówka.

— Może dlatego, ażeby cię ukarać za towarzyszenie mi.

— Ja już wiem, proszę pani, pewno

stoję komuś na przeszkodzie i za to odetną mi głowę jak gęsi — płakała rzewnie.

— Zwłaszcza gdy będziesz się zachowywała jak ona — powiedziała Gracja, odzyskawszy swobodę umysłu.

Te słowa podziały. Milly przestała płakać i starała się okazać odważna.

— Czy wyjrzałaś Milly oknem?

— Naturalnie.

— I co spostrzegłaś?

— Gęste krzewy, dzikie wino i stary, omszony mur, za którym wznoszą się wysokie drzewa.

Te słowa zaniepokoiły widocznie Grację.

— Czyż to możliwe? — zawołała wstając. — Muszę sama zobaczyć — i podeszła do okna.

Według

wszelkiego

prawdopodobieństwa ich pokój był na drugim piętrze.

Nagle Milly krzyknęła z wielkiego zdziwienia.

W głębi pokoju dojrzała bowiem drugie okno zaklejone brązowym papierem.

Szybko zdarła część zasłony. Okazało się, że brakowało szyb, a ramy były pokryte warstwą pyłu i starej pajęczyny.

Z okna tego nie mogły patrzeć kobiety nic dojrzeć, prócz ruin domu zniszczonego piorunem.

Nigdzie śladu życia, wszystko puste, opuszczone i smutne.

— Czy widziałaś, Milly, kogokolwiek?

— Była tu w pokoju stara, brzydka kobieta. Pomagała mi cucić panią, a

następnie odeszła.

Gracja zbliżyła się do drzwi, lecz zasiała je zamknięte.

W chwili gdy odeszła od drzwi, te otworzyły się nagle i weszła stara kobieta z tacą, na której znajdowało się obfite śniadanie dla dwóch osób.

Milcząco przystąpiła do stołu i zaczęła go nakrywać obrusem.

Jednak w chwili gdy Gracja podeszła do drzwi, chcąc przez nie wyrzeć, stara kobieta podbiegła i zamknęła drzwi na klucz.

— Jesteśmy uwięzione? — spytała piękna Gracja, wpatrując się w zniszczoną twarz starej kobiety.

Ta w odpowiedzi skinęła głową.

— Czy nie moglibyście, dobra kobieto, powiedzieć, kto nas uwięził?

Stara wskazała na swe usta i przecząco poruszyła głową.

— Albo jest niema, albo udaje — odezwała się oburzona Milly.

Gracja nie wiedziała, co o tym myśleć, bądź co bądź stara nie powiedziała ani słowa.

I pani, i pokojówka czuły głód.

Musiało być około południa.

Śniadanie było przyrządzone wcale dobrze i obie jadły z apetytem.

Po spożyciu śniadania stara zabrała talerze na tacę, wyszła milcząca, zamknawszy drzwi za sobą na klucz.

Około trzeciej godziny po południu powróciła stara kobieta i na migi dała do zrozumienia, że, jeśli chcą, mogą wyjść na spacer.

Obie zgodziły się chętnie, a stara

zaprowadziła je do ogrodu.

Widocznie była to pańska siedziba, bardzo zaniedbana, a sam ogród zdziczał zupełnie.

Świeże powietrze podziałało kojąco na obie kobiety, lecz po godzinnej przechadzce musiały wrócić do swego więzienia.

Nadeszła noc, a Gracja nie miała sposobności ani uciec, ani też porozumieć się z kimkolwiek.

Ta sama stara kobieta przyniosła im wieczerzę i noc przeszła zupełnie spokojnie.

Zbawca

Gdy zbudziły się rano, oświadczyła Milly, że cała historia zaczyna być nudna i mniej więcej tego samego zdania była Gracja.

Dopiero wieczorem zaszła pierwsza zmiana.

Zamiast starej kobiety, obsługującej je dotychczas, przyniósł wieczerzę stary, mrukliwy, gniewnie patrzący człowiek.

Pokojówka miała wrażenie, że wszedł zbrodniarz gotowy na wszystko, natomiast Gracji zdawało się, że ten człowiek nie jest jej obcy, tylko nie mogła sobie przypomnieć, kiedy i gdzie go widziała.

— No, moje damy, cieszę się z waszego poznania — powiedział tonem tak nadętej grzeczności, że w innych okolicznościach, byłby wywołał uśmiech na ustach pani i pokojówki.

— Spodziewam się, że stara kobieta zachowywała się z należytą uprzejmością i szacunkiem... naturalnie stosownie do warunków, bo więzienie nie jest salonem do tańca... a golarnia nie służy do zarzynania kur i gęsi.

Milly przeraziła się tych słów, schowała się za plecami pani, i czując się bezpieczna, zaczęła się śmiać, gdyż sposób mówienia i zachowania się człowieka, pragnącego przerazić kobiety, był istotnie zabawny.

Gracja Wallace spojrzała ostro na mówiącego, który pod wpływem jej

wzroku zmieszał się, zdjął stary filcowy kapelusz z głowy i niezgrabnie się skłonił.

— Jeśli pan mówi o osobie, która przynosiła nam jedzenie, to zachowywała się ona uprzejmie i z szacunkiem, za co jestem jej wdzięczna — powiedziała Gracja z zimną grzecznością.

— Bardzo mnie to cieszy. Stara jednak ma swe kaprysy i złe chwile... Jeśli się tylko kto jej sprzeciwi, gotowa skoczyć do oczu.

— Zamiast obmawiać starą kobietę, powiedz mi pan, z jakich powodów i w jakim celu jesteśmy uwięzione? — rzekła Gracja tonem surowym.

— Hm... W każdym razie domu tego nie wolno wam opuścić — zamruczał stary.

— To nikczemny wykręt... Jakim

prawem ośmielił się pan uprowadzić nas?

— To nie było trudne, poszło gładko jak chleb z masłem.

— Żądam wyjaśnienia — zawołał Gracja niecierpliwie. — W ogóle ja pana gdzieś widziałam.

— Zapytaj pani kapitana Boba, ten może pani udzielić wiadomości, gdzie się spotkaliśmy. — Mówiąc, to nałożył na głowę kapelusz i spuścił szerokie rondo.

— Któż to jest ów kapitan Bob?

— Mój wspólnik.

— Zatem jest to firma łajdaków.

— Miło mi potwierdzić słowa pani. Za tytuł łajdaka jestem wdzięczny i dumny, bo my jesteśmy zwykłymi rzezimieszkami.

— I w jakim celu uprowadziliście mnie?

— Chcemy od pani dużo, bardzo dużo rzeczy, a ponieważ pani niedawno odziedziczyła piękny majątek, chcemy być także współdziedzicami.

— Żądacie wykupna?

— Tak mniej więcej powiedziała by kapitan Bob, bo to jedyny człowiek do brania pieniędzy. Może pani być pewna że ich zażąda.

— Innymi słowy, jeśli nie otrzymacie sumy wykupnej, macie zamiar nas zamordować — uśmiechnęła się Gracja pogardliwie.

Stary wzruszył ramionami i spojrzał na nią zbójecko.

— Zamordować nie jest słowem właściwym — zapewnił ponurym głosem. — Zginiecie straszną, powolną śmiercią.

— Powiedz pan tedy swemu
wspólnikowi kapitanowi Bobowi, że
grosza nie otrzyma ode mnie.

— Jeszcze namyśli się pani — zawołał
stary z gniewem. — Z kapitanem Bobem
nie ma żartów... Jeśli pani się uprze,
znajdzie środki na to. W oczach pani
zamorduje pokojówkę, odcinając jej
kawałek ciała po kawałku. Uprzedzam
panią.

— Dziękuję za otwartość —
uśmiechnęła się Gracja drwiąco.

Milly jednak przerażona, trzymając się
konwulsyjnie sukni pani, szeptała
zrozpaczona:

— Ach, mój Boże, na cóż mi się
przyda posag, gdy będę jak gęś
zarznięta... i to po kawałku... a pani taka
spokojna.

— Nie płacz, głuptasie — rzekła Gracja do niej. — Chodź, będziemy jadły... a pan zechciej wyjść, bo nam przeszkadzasz.

— Dobrze, pani, jednak bądź pani przygotowana na zmianę mieszkania.

— Cóż to nowego? — spytała Gracja zdziwiona.

— Kapitan Bob obawia się, że jeden z przyjaciół pani spieszy jej z pomocą. W tej chwili kapitan zrobił na niego zasadzkę przy drodze i nie zdziwiłoby mnie wcale, gdyby go zastrzelił bez wyroku.

Gracja Wallace zaniepokoiła się i po chwili spytała:

— Któryż to z moich, przyjaciół?

— Głupiec, z którym będzie dość kłopotu... o ile słyszałem, ten osioł nazywa się Burnet. Tylko nie spodziewaj

się pani, że uda mu się cokolwiek. Uczynimy go wkrótce nieszkodliwym.

Skończywszy te słowa wyszedł.

Milly dzwoniąc zębami usiadła przy stole naprzeciw swej pani.

— Nie, nie mogę jeść — jęknęła Milly odkładając nóż i widelec. — Gdy wspomnę na słowa tego człowieka, nie mogę nic przełknąć. Być rozkawałkowaną... to okropne! Ach, gdyby przybył pan Burnet, on taki rycerski, odważny...

Umilkła, widząc drwiący uśmiech swej pani.

— Mój kuzyn Jake jest odważny, o ile mu nic nie grozi... Nie mam wcale ochoty do śmiechu, ale, gdy przedstawię sobie Jake'a pędzącego z miną rycerską na naszą obronę, mimowolnie pusty śmiech

mnie bierze.

Po jedzeniu usiadły obie w kącie.

Zamyślona Gracja nagle powiedziała do Milly:

— Wiesz znam tego człowieka... To stary Weasel, służył niegdyś u rodziców Jake'a i przed jakimiś piętnastu laty został wypędzony za złodziejstwo i oszustwo.

Noc szybko zapadła. Czarne, olbrzymie chmury zasłoniły niebo, a jaskrawe błyskawice rozdzierały ciemności, od czasu do czasu piorun uderzył i lunął deszcz.

Ze smutnych rozmyślań zbudziło Grację pukanie w okno.

Mimowolnie podeszła i otworzyła.

Najpierw ujrzała kapelusz, następnie postać mężczyzny, wreszcie wśród jasnych błyskawic wskoczył do pokoju

Jake Burnet ku największemu zdumieniu Gracji.

Istotnie był to odważny kuzyn, który pospieszał na ratunek uwięzionych kobiet.

Zdemaskowany

Na szczęście Jake Burnet miał na sobie nieprzemakalny płaszcz i długie buty z cholewami, co go chroniło od możliwego kataru.

Najpierw rzucił ostre spojrzenie wokoło, ręką nakazał milczenie Milly, która zdradzała ochotę do krzyku i podbiegł do kuzynki.

— Bogu niech będą dzięki, że odnalazłem wreszcie ciebie, Gracjo — mówił z wielkim wzruszeniem. — Czy ci łotrzy nie skrzywdzili cię? Mów moja najdroższa!

— Trzymali mnie tutaj wbrew mojej

woli, nic więcej. Zresztą jedzenie było możliwe.

— Ich szczęście! W przeciwnym razie, byłbym ich zamordował z zimną krwią — zawołał z patosem.

Otworzył ramiona i przemówił najczulszym tonem:

— Czy jesteś szczęśliwa Gracjo, że cię uratowałem?

— No, tak, cieszy mnie twoje przybycie — powiedziała chłodnym tonem, nie rzucając się z okrzykiem radości w jego otwarte ramiona, jak przypuszczał. — W ogóle mam wrażenie, że jestem wśród teatralnych zbójców. Ten stary człowiek, który tu był, zachowywał się jak Franciszek Moor z drugiego aktu Zbójców Schillera... i dziwna rzecz, on przypomina mi Weasla, tego starego

nicponia, który służył u twoich rodziców.

Jake Burnet miał minę psa oblanego kubłem zimnej wody. Spotkanie z kuzynką po jej uprowadzeniu przedstawiał, sobie inaczej

Musimy ten dom opuścić — powiedział surowo. — Twe życie jest tu w niebezpieczeństwie.

— W taki deszcz? — zauważyła kuzynka spokojnie — to byłoby zbyt cenne. Zapewne masz rewolwer przy sobie... Może zechcesz mi go dać i tak nie umiesz z nim się obchodzić.

— Cóż za dziwne mniemanie o mnie, najdroższa — zawołał Jake z gestem teatralnym. — Czyż nie przyszedłem, aby cię uratować, chociażbym miał to życiem przypłacić! O, pozwól mi w tej chwili wyznać to, co nigdy nie mogło przejść

przez moje usta.

— Zrób mi tę wielką grzeczność i zamilknij — przerwała mu młoda kobieta tonem, który otrzeźwił go nagle z jego zapałów. — Powiedz mi raczej, jakim sposobem znalazłeś się tutaj? Mówiąc bardzo delikatnie, bardzo mnie dziwi, jakim sposobem ci, co mnie uprowadzili, wiedzieli o moich stosunkach z Bellą Bertram, również o twoich usiłowaniach uwolnienia mnie z wymienieniem twego nazwiska?

Jake Burnet patrzył na Grację zmieszany. Nie podobał mu się sposób i ton przemowy kuzynki.

Wyobrażał sobie, idąc tu, że ona zarumieniona i pełna wdzięczności tulić się będzie do niego jako do swego zbawcy. Tymczasem ta drwiąca mowa,

ten uśmiech ironiczny wskazywały, że młoda kobieta nie boi się wcale, a kto wie czy nie przeczuwa istotnego stanu rzeczy.

— Biedna, kochana Gracjo — mówił zmieszany — gdybym umiał ci powiedzieć, ile mnie kosztowało odszukanie ciebie...

— Bądź pewny, że zwrócę ci wszelkie wydatki...

— Ależ, Gracjo, któż mówi o podłych pieniądzach, gdy w grę wchodzi cierpienie serca i szczerą rozpacz po stracie tego, co jest najmilsze w życiu — zawołał Jake Burnet z istną namiętnością. — Ach, Gracjo, ty nie przeczuwasz nawet, w jaką morderczą jaskinię wpadłaś... Znajdujesz się w najbliższym sąsiedztwie tunelu Erie.

— Nawet i to mnie nie przeraża, Jake

— zaśmiała się młoda kobieta. — Daj mi tylko rewolwer, a obronię się nawet przeciw tunelowi Erie.

— Nie, broni nie oddam — zawołał, i zapominając widocznie gdzie się znajduje, tupnął nogą. — Będę cię bronił do ostatniej kropli krwi... Słyszysz? Już idą!

— Nic dziwnego, jeśli krzyczysz i tupiesz nogą jak źle wychowane dziecko — zrobiła uwagę Gracja, patrząc badawczo w twarz kuzyna, jak gdyby go pierwszy raz widziała.

— Pewno odkryli drabinę — krzyknęła Milly. — Ach dlaczegoż pan zostawił drabinę, pewno nam gardła poderzną i panu także.

— Milcz głupia! — zawołał Jake Burnet, który dusił się ze wściekłości

wobec przyjęcia, jakiego doznał od swej kuzynki.

Jego tupnięcie zdawało się być umówionym sygnałem, gdyż rozległy się ciężkie kroki na schodach, przekleństwa....

Wkrótce zaczęło drzwi wywahać i zamek padł z trzaskiem.

Mimowolnie Gracja Wallace wzięła za ramię drżącą Milly i cofnęła się wraz z nią za staromodne biurko.

Burnet w postawie bohatera z operetki stał na środku pokoju z wyciągniętym rewolwerem.

Przez otwarte drzwi wpadli do pokoju dwaj dziwacznie zamaskowani ludzie.

— Jesteś jak szczur w pułapce — krzyknął jeden z nich.

— Ręce w górę — zagrzemiał Burnet

— albo zastrzelę was, wy rabusie kobiet!
Pokażę wam co znaczy odwaga!

Wypowiedziawszy te słowa strzelił na oślep.

Dwaj zamaskowani odpowiedzieli również strzałami.

Nagle jeden z napadających krzyknął przeraźliwie i padł.

— Poddaj się, albo zginiesz! — zawołał Jake Burnet do żyjącego. — Podli zbrodniarze, którzy śmieliście porwać piękny niewieści kwiat... niewiastę piękną jak kwiat — poprawił się.

W tej chwili bandyta strzelił w kierunku drżącej Milly.

Ta padła z przeraźliwym piskiem na ziemię.

— Jestem zraniona — krzyczała z

całych sił. — Ach, dobra moja pani, on mnie trafił... Tak młoda i już umrę... i na cóż mi mój piękny posag?

Obrońca uciśnionych strzelił.

I oto drugi napastnik z głuchym jękiem padł na ziemię, drgnął kilka razy i wyprężony leżał.

Jake Burnet stał dumny i nieustraszony na środku pokoju, żadną kulą niezraniony.

— A pan cały? Żywy? — zaszeptała Milly, podnosząc się z ziemi. — Ach, moja nowa bluzka satynowa! Zupełnie zniszczona!

— Bóg mnie strzegł! — zawołał Jake Burnet. — Dwaj złoczyńcy zabici, ale to nie jest widok dla pań.

Podszedł do bladej, ale śmiało patrzącej Gracji i ulegając swym uczuciom pochwycił jej rękę, którą mu

szybko usunęła.

— Teraz chyba uwierzysz, moja uwielbiana, że z radością oddam życie za ciebie — zawołał rozczulony. — Wyjdźmy z tego pokoju... Widok tych trupów... i ten nieznośny, duszący dym prochu...

W tej chwili jeden z leżących trupów podniósł głowę i kichnął.

— Przeklęty dym! — przemówił — nawet nie pozwala umrzeć spokojnie.

— Nie mam szczęścia — odezwał się drugi trup, upadłem na klucz w kieszeni i tak mi dokucza, że nie mogę umrzeć.

Milly spoglądała przerażona na dwa rozmawiające trupy, a okrzyk zdziwienia zamarł na jej ustach.

Pierwszy trup znów kichnął.

— A, przeklęty dym... Mógłbyś mi

kolego umarły, powiedzieć przynajmniej na zdrowie.

Jake Burnet podobnie jak Milly, zdawał się być rażony piorunem. Nie mógł powstać, ukląkszy, jak przystało na rycerza, przed damą swego serca.

Lecz opamiętał się po chwili i zrywając się zawołał:

— Do wszystkich diabłów, co to znaczy?

Odrzucił wystrzelony z naboju rewolwer i sięgnął po drugi do kieszeni.

Zanim jednak zdołał wystrzelić, dwaj zamaskowani bandyci leżący na ziemi zerwali się i pochwycili go.

Chwilę zmagali się w milczeniu. Wkrótce rycerz bez skazy był w ich rękę obezwładniony i potulny jak dziecko.

— Co to wszystko znaczy? — zapytała

Gracja, milcząca dotychczas.

— Jeszcze chwilę cierpliwości, szanowna pani, zaraz wyjaśnię wszystko, tylko założymy stalowe bransoletki odważnemu obrońcy pani.

Burnet zaczął się rzucać i kłać, ale dwóm zamaskowanym nie mógł się oprzeć, Nałożono mu kajdany najpierw, na ręce, następnie na nogi.

— Trochę świeżego powietrza nie zaszkodzi... Proszę cię, Chick, otwórz okno.

Równocześnie „zbójca” postawił na stole elektryczną lampkę, która jasno rozświetliła pokój.

— Daruje pani, żeśmy w jej obecności odegrali tak prostą komedię — skłonił się bardzo uprzejmie przed stojącą, poważną Gracją — ale nie nasza to wina.

Cały plan wygotował ten oto człowiek, Jake Burnet, aby okazać się w oczach pani nieustraszonym rycerzem. Naturalnie wpierw umówił ze swoimi współnikami, że będą strzelali ślepyimi nabojami.

— On kłamie!... On kłamie! — wołał rozpaczliwie więzień.

— Sądzę, że ten człowiek mówi prawdę — odezwała się Gracja tonem gniewnym. — Cała ta historia od samego początku wydawała mi się podejrzana.

— Może teraz ujdziemy z życiem — dodała Milly, obciągając starannie swą bluzkę.

— To bardzo prawdopodobne — rzekł Nick Carter, który w tej chwili zerwał przyprawioną brodę i zdjął szeroki kapelusz.

— Carter! — jęknął poblady więzień.

W pierwszej chwili rzucił się on na detektywa, ale Chick bez trudu osadził go na krześle.

— Do usług pani, Nick Carter. — Detektyw uklonił się z szacunkiem przed zdziwioną Gracją. — Z pani polecenia zawezwał mnie Jake Burnet, ażebym odszukał męża pani.

— Wiem, że pan się tego podjął i dowiedział się, że mój mąż w jakimś osławionym lokalu, oszołomiony trunkami został zamordowany, a ciało jego wrzucono do kanału.

— Tak opowiadał kuzyn pani, a ja z rozmysłu potwierdziłem tę bajkę... ale o tym później.

— Ach, mów pan zaraz — zawołała Gracja.

— Zaraz, szanowna pani. Otóż

najpierw dam pani potrzebne wyjaśnienia, które rzuca światło na całą tę tajemniczą historię.

— On kłamie! On kłamie! — krzyknął Jake Burnet. — Gracjo, nie wierz mu i słowa... on jest przekupiony przez moich nieprzyjaciół i on mnie...

— Odgadł — przerwał mu Nick Carter. — Tak, jestem w związku z wrogiem pana i wkrótce dowiesz się o tym, panie Jake'u Burnet.

Gdy więzień zaczął znów krzyczeć i wymyślać, Nick Carter dał znak swemu towarzyszowi. Ten zakneblował mu usta z wielką wprawą.

— Przykro mi, że w obecności pani, muszę się uciec do takich środków — mówił Nick Carter, zauważywszy drżenie Gracji — ale zrobiłem to dla zyskania

spokoju. Otóż ten zbrodniarz — wskazał na więźnia — od długiego czasu starał się zgubić męża pani. Systematycznie przedstawiał go jako człowieka śmiesznego, lekkomyślnego i godnego pogardy. Rozpijał Vernona Wallace'a, a sam przedstawiał się jako troskliwy, do ofiar gotowy przyjaciel, który na próżno usiłuje powstrzymać pijaka od upodlenia i upadku i podnieść go do własnego wysokiego poziomu

Gdy wreszcie, jak przypuszczał, pani przestała kochać swego męża, wymierzył cios główny. Sam uprowadził Vernona Wallace'a, zastrzyknął mu oszałamiającą truciznę, i postanowił żywego, chociaż nieprzytomnego spalić w krematorium w Hoboken.

— Wielki Boże! — jęknęła żona.

Całą tę niezmierną miłość, którą miała dawniej dla swego męża, odczuła na nowo, a wrażenie było tak silne, że pobladła, zachwiała się i byłaby upadła, gdyby jej nie podtrzymał Nick Carter.

— I zginął mój drogi Vernon? — spytała słabym głosem.

— Nie, on żyje! — rzekł Nick Carter, wskazując na drzwi, w których pojawiła się smukła postać mężczyzny.

Spojrzeć, rzucić mu się w objęcia z okrzykiem radości, było dziełem jednej chwili.

— Vernon!

— Gracjo!

Lecz jeszcze trzeci głos przytłumiony dał się słyszeć.

Jake Burnet, mimo knebla jęknął chrapliwie.

Zerwał się z krzesła, patrzył z przerażeniem na swą ofiarę, żywą pomimo spalenia jej w krematorium, zachwiał się i upadł na ziemię.

Chick poskoczył, wyjął knebel, lecz twarz Butlera była sina, a zmienione okropnie rysy i nieruchome oczy świadczyły, że wszelka pomoc ludzka była już tu zbyteczna.

Strach na widok człowieka, którego on, jak sądził niezłomnie, zamordował własną ręką, strach ten zabił na miejscu Jake'a Burneta.

Koniec historii krótki

W kuchni tegoż domu, gdzie było uwięziona Gracja, leżały na podłodze trzy skrupowane osoby: Weasel, jego żona i Hagan, dorożkarz karety numer 747.

Weasel i jego żona, uzbrojeni w rewolwery ze ślepymi nabojami, mieli odegrać napad na pokój i dać się rzekomo zastrzelić, aby odwaga Burneta ujawniła się w całym swoim blasku.

Tymczasem dwaj detektywi pokrzyżowali całkowicie te plany i nadzieje Burneta.

W chwili, gdy Burnet był na górze zwiążali jego współników, i sami

odegrali rolę zbójców, tylko z innym zakończeniem.

Jeśli był jeszcze ślad wątpliwości w sercu Gracji, to rozwiął się on szybko pod wpływem serdecznej, poufnej rozmowy z mężem. Drżąc ze zgrozy, widziała teraz dokładnie, z jaką wyrafinowaną, szatańską przewrotnością Jake Burnet postanowił zniszczyć jej szczęście dla osiągnięcia swoich osobistych celów.

W New Yorku nie było odtąd chyba szczęśliwszego małżeństwa aniżeli Gracja i Vernon połączeni na nowo dzięki genialnemu detektywowi.

Odmiennych uczuć doznali schwytni więźniowie: dorożkarz Hagan, stary wojskowy i Bob Acres, aresztowany gospodarz osławionego lokalu w dzielnicy Bowery.

Wszelkie zaklęcia i obietnice poprawy Hagana nie uchroniły go od długoletniego więzienia, gdyż okazało się ze śledztwa, że przy pomocy swego eterowego przyrządu, sprawił on niezmiernie wiele złego i bez najmniejszego skrupułu niejedną niewinną dziewczynę oddał na pastwę bezwstydných rozpustników.

Weasel i jego żona nie uszli też kary na równi ze starym wojskowym i Bobem Acresem.

Tym ostatnim nie dowiedziono wprawdzie mordu, ale świadectwo Nicka Cartera wystarczyło przysięgłym. Wydali oni wyrok uwalniający społeczeństwo na czas długi od zgubnego panoszenia się zbrodniczych instynktów tych ludzi.

Koniec

